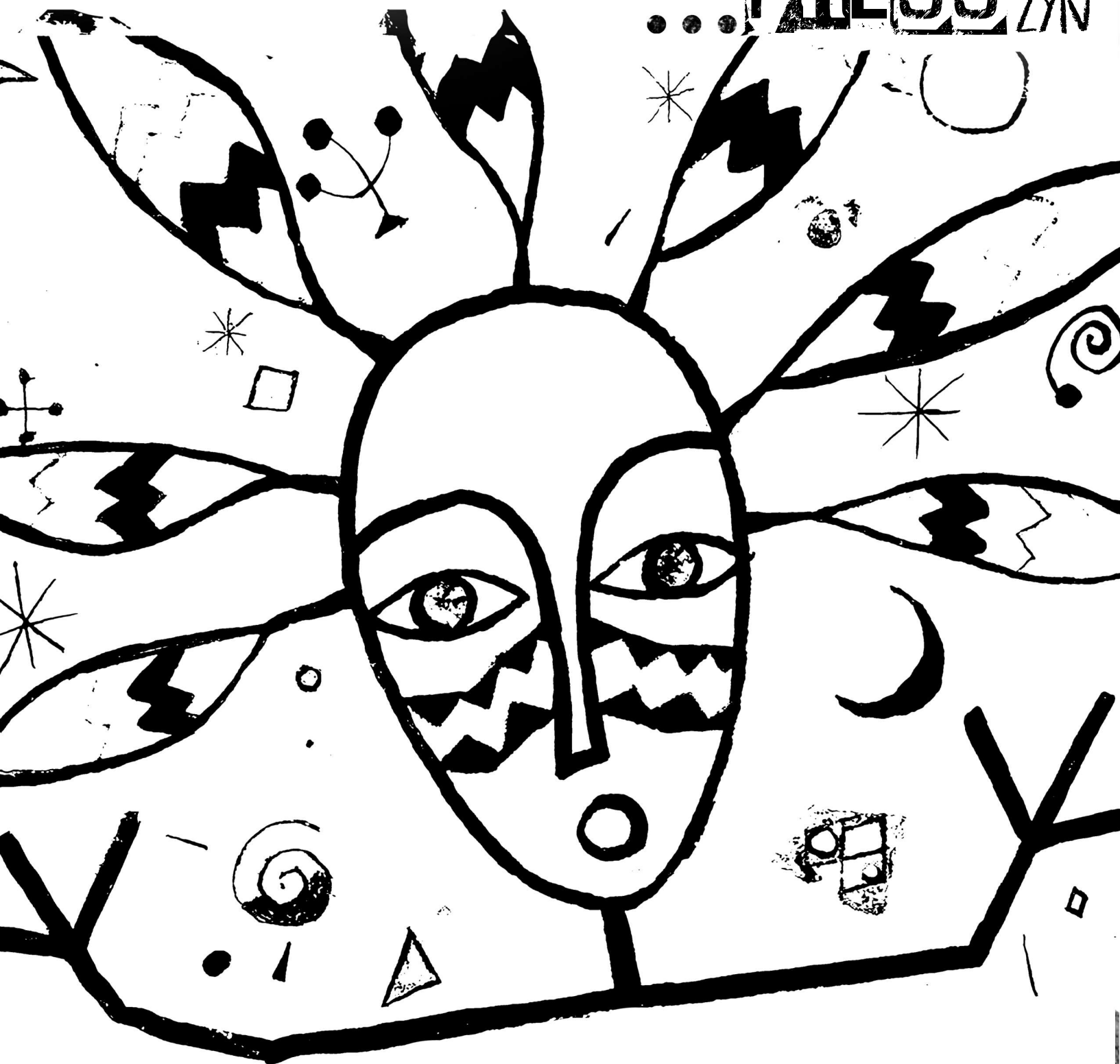


# STREFA DE...

wiosna/lato 2024 #13

...PRESS ZYN



#ARMIA #HOTEL CENTRUM / IMPERIUM  
#RAMBUKK #DISORDER #ZSZOPY #Kuba Kapsa  
Relacje, recenzje: Castle Party 2023, Furia,  
Homo Twist, Steve Von Till, Swans, Rimbaud

# Rozkład Jazdy



il. Jakub Stefaniak

Wstępniak .....	-2-
Tomasz Budzyński (Armia): <i>Plastyczne wizje kosmicznej muzyki</i> .....	-3-
"Rimbaud" Witold Zimowski .....	-8-
Edward Skrzypczak, Lech Pańczuk (Hotel Centrum / Imperium): <i>Bierzemy wiosło i lecimy!</i> .....	-11-
Rambukk / Disorder: <i>Independent Day</i> .....	-15-
Zszopy: <i>Po prostu gramy...</i> .....	-19-
Castle Party 2023: <i>Epicus Gothicus Metallicus</i> .....	-22-
Kuba Kapsa: <i>Po prostu lubię dobrze brzmiące instrumenty</i> .....	-25-
Relacje: Furia, Homo Twist, Steve Von Till, Swans .....	-27-
Projekt Czerwone Miasto .....	-35-
Ilustrator numeru - Jakub Stefaniak .....	-36-

40 lat minęło...

Kiedy w 1984 roku Tomasz Budzyński, Robert Brylewski i Sławomir Gołaszewski zakładali zespół Armia, na świat w Akron, Ohio przychodził LeBron James, najstarszy obecnie koszykarz NBA, a Michael Jordan rozgrywał pierwszy sezon w barwach Chicago Bulls. W analogicznym czasie gdzieś w dalekim świecie małolaci zakładali kilka całkiem interesujących kapel - z niebytu wyłaniały się wówczas takie grupy, jak choćby Soundgarden, Sepultura, Mayhem, Dinosaur Jr. czy Primus; skonfliktowany z Joe Strummerem Mick Jones do życia powołał zaś Big Audio Dynamite. W orwellowskim roku premiery miały też takie albumy jak debiuty Klausa Mittfocha, New Model Army, Nicka Cave'a i Dead Can Dance, „Nieustanne tango” Republiki, „Ride the Lightning” Metalliki i „Tonight” Bowiego. Do kin weszły „Seksmisja”, „Terminator”, „Gliniarz z Beverly Hills” oraz „Koszmar z ulicy Wiązów”, a Michael Jackson podczas kręcenia reklamówki Pepsi poważnie oparzył się w głowę, co zapoczątkowało jego długoletnią słabość do tabletek i zastrzyków wszelkiej maści.

Dlaczego zacząłem od lekko bigosowej wyliczanki sprzed czterech dekad wstecz? Otóż pierwsza w 2024 roku odsłona „Strefy de...press'zyn” przede wszystkim kłania się różnym perspektywom zerkania w przeszłość. Bezpośrednim pretekstem do powstania utrzymanego właśnie przez Was numeru zina jest koncert Armii przypominający najstarsze dokonania tej grupy oraz towarzyszący imprezie wywiad z Budzym, który przede wszystkim nawiązał do najodleglejszych czasowo dziejów swojej formacji. Oczywiście w najnowszym wydaniu jedynego legnickiego muzycznego nieregularnika pojawiły się także mniej lub bardziej współczesne - lecz obowiązkowe - wątki lokalne, ale nie zapomnieliśmy też o sprawozdaniach z kilku ciekawych meczów wyjazdowych. Wszystkich wygranych!

Ale przecież nie samymi wspomnieniami muzyczny świat żyje. Trwający właśnie rok potwierdza, że kompletnie nieistotny jest PESEL i bohaterowie dawnych lat - siwi, ale jeszcze żywi - niezwykle sprawnie sobie radzą i w teraźniejszości. Michael Gira, centralna postać jednej z relacji, pomimo ukończenia siedemdziesiątki wciąż wspina się na wyżyny kreatywności i scenicznej formy, a Maynard James Keenan z okazji odhaczenia szóstego krzyżyka nagrał okazjonalny split „Sessanta”, na którym pojawili się A Perfect Circle, Puscifer i Primus! Zresztą inni „starsi panowie” w tym roku także zagwarantowali nam spory urodzaj premierowego materiału. Naprawdę warte uwagi płyty wydali Melvins, Einstürzende Neubauten, Ministry czy New Model Army. Na horyzoncie wyłaniają się też zapowiedziane na lato świeże krążki Nicka Cave'a and the Bad Seeds (ależ ładnie się ta czterdziestoletnia klamra przyryka) i... Johnny'ego Casha (syn faceta w czerni ponownie zdyskontował dorobek zmarłego 20 lat temu staruszka i zebrał materiał na jego 72. studyjny album). Ale żeby nie było, że zanudzam tylko o dinozaurach. Wśród znacznie młodszego pokolenia (choć to przecież i tak chłopcy po trzydziestce) z pewnością wyróżnić należy datowane na 2024 długogrające propozycje od takich kapel jak Idles, Hauntologist, Bob Vylan czy Pissed Jeans, a do tego w niedługim czasie można spodziewać się materiału od Fontaines D.C. - jest zatem czego słuchać i nie ma co narzekać („Starbuster” to jak na razie mój faworyt w kategorii track roku).

Mam nadzieję, że świetnie bawiliście się na koncercie Armii i czytając te słowa jeszcze leczycie zakwasy. No to miłego i do zobaczenia gdzieś pod sceną!

Michał Przechera

W  
S  
T  
R  
E  
F  
Y  
D  
E  
P  
R  
E  
S  
S  
Y  
Z  
Y  
N





# TOMASZ BUDZYŃSKI

## PLASTYCZNE WIZJE KOSMICZNEJ MUZYKI

„Nie poczuwam się do żadnej rockowej ideologii czy mitu. Jedno, do czego się poczuwam, to moja wyobraźnia” – powiedział Tomasz Budzyński w wywiadzie udzielonym Kubie Wojewódzkemu. Rozmowa ukazała się w „Magazynie Muzycznym” z czerwca 1991, jednak te słowa są w przypadku wokalisty zespołu Armia aktualne do dziś. Jego bezkompromisowe podejście do sztuki oraz niekłanianie się modom, przy jednoczesnym pielęgnowaniu tradycji i odnajdowaniu w niej nowych znaczeń, twórczo kontrastuje z fałszywym szelestem kuponów odcinanych z wyrachowaniem przez wielu rockowych dinozaurów. Przy okazji legnickiego koncertu będącego częścią jubileuszowej trasy Armii, podczas której usłyszeć można przede wszystkim utwory z debiutanckiego albumu grupy, Budzy podzielił się z naszym zinem wieloma ciekawymi wspomnieniami i przemyśleniami. Rozmawiał Michał Przechera.

Żeby jeszcze lepiej wczuć się w klimat rozmowy, przed wywiadem przejrzałem mnóstwo starych polskich muzycznych czasopism pochodzących mniej więcej z czasów powstania zespołu Armia. Zauważyłem, że dziennikarze bardzo często zamiast próbować uchwycić waszego ducha, zastanawiali się nad tym, do jakiej szufladki was wcisnąć.

Rzeczywiście tak było, ale my faktycznie funkcjonowaliśmy w pewnym obiegu – mówiąc ogólnie, undergroundowym – co łączyło się z modą odzieżową. Wszyscy – i kapele, i załoganci – wyglądaliśmy trochę podobnie i przypominaliśmy punków. (śmiesz) Wystarczyło nas tylko zobaczyć, żeby od razu władować do szufladki. I w sumie nie dziwię się, że wokalista zespołu Siekiera, który założył nową formację, był postrzegany jako punkowiec. Dziennikarze też często mają skłonności do kategoryzowania, a przecież nasza twórczość – szczególnie ta późniejsza – jest trudna do

zakwalifikowania. Ale muszę przyznać, że ta inność – armijność – pojawiła się już w zasadzie na samym początku, a później tylko podążaliśmy swoją ścieżką.

A pamiętasz dokładnie powstanie Armii? Zawsze podkreślałeś, że zostałeś zaproszony do współpracy, podczas gdy Robert Brylewski w autobiografii „Kryzys w Babilonie” przyznał: „To była ewidentnie propozycja Budzego, żeby zmontować zespół w Warszawie, choć on w swoich wspomnieniach utrzymuje inaczej”.

Mam całkowitą jasność tych wspomnień i wciąż trzymam się swojej wersji. Dokładnie pamiętam spotkanie z Robertem i Sławkiem Gołaszewskim na schodach klubu Hybrydy na jesieni 1984 roku. Ja wtedy mieszkałem w Puławach i przyjechałem do Warszawy na giełdę płyt. Rozmawialiśmy, co u nas słychać. Gdy powiedziałem, że odszedłem z Siekiery to właśnie moi

koledzy zaproponowali, żeby stworzyć ten, jak to nazwali „eksperymentalny składzik”. Nie zapomnę tych słów. Dokładnie tak powstał zespół Armia.

W jaki sposób szukaliście swojej formy artystycznej?

Wtedy jeszcze nie myśleliśmy w sposób koncepcyjny, a na debiutanckiej płycie i utworach ją poprzedzających nasza twórczość była bardzo spontaniczna. Jednak już wtedy pojawił się zwiastun armijnego ducha, tak mocno wyczuwalnego choćby w numerze „Jeżeli” na składance „Jak punk to punk”. Jego kwintesencją stała się natomiast płyta „Legenda”, nagrana kilka lat później.

Domyślałem się, że te superczadowe utwory komponowałeś na gitarze akustycznej?

Wszystkie utwory Armii, których jestem autorem, powstały z tego brzdąkania sobie na akustyku w moim pokoju w Puławach. Na pierwszą próbę Armii przywoziłem dwa pomysły: szkic utworu „Sędziowie” i „Nic już nie przeszkodzi”. To kompozycja wspólna – ja zrobiłem refren, a mój kolega Łukasz zwany Szkapą wymyślił wstęp. A może odwrotnie? Ale to był tylko punkt wyjścia. Potem jechałem na próbę, pokazywałem te patenty Robertowi Brylewskiemu, on włączał gitarę, zaczynał grać i... pojawiało się to coś. Zanim sprowadziłem się do Warszawy i musiałem jeszcze dojeżdżać na próby, najczęściej spałem u niego. Nie przez przypadek zacząłem współpracować właśnie z Robertem, który brzmiał oryginalnie i tworzył czadową muzykę na mocno spogłosowanej gitarze. To była absolutna nowość i nikt inny w ten sposób nie grał. Żeby wydobyć selektywność, raczej postępowano odwrotnie, skręcano pogłos. Wtedy gitara mogła wyjść na przód i bardziej kopać. Ale u nas przez pogłos tworzyła się ta dziwna aura, jak to nazywali dziennikarze – ściana dźwięku. Dla mnie to była sztuka dubu w muzyce czadowej.

Fakt, że mieszkałeś poza stolicą nie utrudniał pracy nad nowymi numerami?

To był wspólny duch – Sławek Gołaszewski jako filozof potrafił to nawet uzasadnić teoretycznie. Były to bardzo ciekawe, wręcz mistyczne, teorie. To wszystko jeszcze się wzmocniło, gdy do zespołu doszedł Banan, który na muzykę patrzy bardzo podobnie jak ja – w sposób progresywny. Podkreślam, że Armia jest dziełem wspólnym. Statystycznie najwięcej pomysłów na nowe utwory przynosiłem ja, ale pozostali muzycy bardzo mocno dołożyli się do rozwinięcia naszej formy. Wiele rzeczy sprawiło, że Armia właśnie tak brzmi. Chcę dodać, że dla mnie bardzo ważne jest miejsce, gdzie powstaje sztuka. Ja wtedy bardzo dobrze czułem się w kanciapie w Hybrydach, którą Robert urządził wręcz „po domowemu”.

Wiele razy podkreślałeś, że artysta, by być wiarygodnym, musi lubić swoją twórczość. Po latach patrzysz na debiutancki album Armii bardziej jak na

historyczny dokument, takie zasianie dobrych ziaren, czy traktujesz go jednak jako pełnowartościową wypowiedź artystyczną?

Bardzo mi się podoba porównanie naszych początkowych nagrań do rozrzuconych ziaren, o których śpiewam w utworze „Niewidzialna Armia”, będącym w tamtych czasach czymś w rodzaju jakiegoś hymnu. Przygotowując się do trasy z pierwszą płytą musiałem sobie co nieco przypomnieć. Niektóre utwory nie były grane od ponad 30 lat! Ale ostatnio dość często słucham „Antiarmii” w aucie i mi się to nasze granie naprawdę podoba! Nie mam zbyt wielu zastrzeżeń, zwłaszcza brzmienie gitary jest świetne – wystarczy włączyć takie numery jak „Nic już nie przeszkodzi” czy „Nigdzie teraz tutaj”. Myślę tylko, że można było lepiej zarejestrować i wyprodukować ten materiał, ale nagrywaliśmy go w warunkach z lekka partyzanckich w prywatnym studiu w Rzeszowie mieszczącym się na parterze zwykłej kamienicy. Naprawdę dobrze brzmią za to utwory pochodzące ze wspomnianej wcześniej składanki i naszego pierwszego singla takie jak „Jeżeli” czy „Aguirre”, rejestrowane w studiu Tonpressu na Wawrzyszewie. Korzystaliśmy wówczas z konsoly AMS Neve i to słysząc.



W sierpniu 1988 roku w „Magazyn Muzyczny” ukazał się twój wywiad z Kubą Wojewódzkim. „Najkrócej o tej płycie powiedzieć można, iż ona jest, a jakby jej nie było. Panował wszechogarniający i wszechparaliżujący pośpiech. Produkt końcowy jest nie do przyjęcia, wręcz skandaliczny” – powiedziałaś o pierwszym, pronitowskim wydaniu waszego debiutu, które ukazało się ze sporym błędem wydawniczym...

Od wielu lat pokutuje mit, jakoby taśma matka w trakcie nacięcia płyty, podczas wykonania matrycy, została założona od drugiej strony. Aż trudno mi w to uwierzyć, ale ponoć to prawda. Przyznam, że niechętnie wspominam tę sesję. Miałem już od początku zastrzeżenia do samego sposobu nagrywania. Studio znajdowało się w starej kamienicy z wysokim sufitem – w takim pomieszczeniu perkusja miała szanse zabrzmieć fajnie i naturalnie, ale bębny wsadzono do jakiejś tekturowej kabiny, która była – nie wiedzieć czemu i po co – kompletnie wygłuszona. To wszystko pomysły właściciela studia i realizatora. Był to człowiek, który pochodził z jakiejś innej bajki, zupełnie nie czuł

naszej muzyki. Przyglądałem się temu ze zdziwieniem, ale za bardzo się nie odzywałem, licząc na to, że „oni wiedzą lepiej”. Generalnie trochę traciliśmy czas, bo zamiast nagrywać to głównie siedzieliśmy na murku, albo ja wałęsałem się po okolicznej starówce. Wszystko ratowało poczucie humoru Roberta Brylewskiego, który był człowiekiem dowcipnym i zdolnym do poświęceń.

Krzysztof Koziański, wasz menadżer, także w „MM” przedstawił kwestię problematycznego brzmienia dość poważnie: „Chcieliśmy oddać sprawę do sądu, ale dokładne ekspertyzy wykazały, że po części winna była technika nagraniowa w studiu, gdzie rejestrowaliśmy utwory”. Robert Brylewski w rozmowie z Rafałem Księżykiem bagatelizował jednak całą sytuację: „Nie dało się podać winnego do sądu, bo był to biedny starszy pan. Głowica odczytała taśmę z drugiej strony przy nacinaniu towarzyszącemu produkcji winyla”. Prawda leży pośrodku?

Ja nikogo do sądu nie chciałem podawać, ale byliśmy mocno niezadowoleni, zwłaszcza z tego pierwszego tłoczenia. (śmiej) Właściwie tylko moja ulubiona okładka wyszła tam dobrze. Ale dajmy sobie spokój z sądem. Co by nam to dało? Trzeba by było zniszczyć nakład czy jak? Jeżeli to prawda, że taśma była z drugiej strony, to podstawowym pytaniem jest tylko kto ją tak dziwnie „nawinał”?

W książce „Soul Side Story” nawiązałeś też od kafkowskiej sytuacji, gdy jeszcze przed rozpoczęciem sesji wasz basista Żwirek został aresztowany za kradzież nieistniejącej golariki... Dlaczego w ogóle zdecydowaliście się na nagrywanie w Rzeszowie?

Ten wyjazd był pomysłem naszego ówczesnego menadżera. Gdy tylko przyjechaliśmy do Rzeszowa, pierwszą noc spaliśmy w najlepszym hotelu w mieście no i zjawiła się Służba Bezpieczeństwa szukająca byle pretekstu. Trafiło na Żwirka, który został zatrzymany na 24 godziny, bo rzekomo komuś ukradł golarkę. Nic na niego nie mieli, więc go zaraz wypuścili. Potem już spaliśmy na podłodze w kamienicy, gdzie mieściło się studio i nikt nas się już nie czepiał, ale było zimno i niewygodnie. To był chłodny maj i, tak jak powiedziałem, mam z tej sesji nie najlepsze wspomnienia. Ale przypominam, w 1986 w Polsce jeszcze panowała komuna i choćby przy okazji występu na festiwalu w Jarocinie przed koncertem SB wzywała mnie na przesłuchanie. Innym razem o świcie milicja zrobiła nalot i skuła mnie kajdankami – tym razem poszło o kradzież w sklepie ze skórami czy jakimiś futrami. Skoro do miasta przyjeżdżała dziwna, kolorowa załoga, trzeba było sprawdzić, kto to jest. No i nas zgarniali. Ogólnie pomysł nagrywania pierwszej płyty w prywatnym studiu w Rzeszowie uważam za niewypał.

W jednej z pierwszych inkarnacji Armii perkusistą był niesamowity, od dawna już nieżyjący perkusista Janusz Rołt. Zastanawiasz się czasem, jak płyta by zabrzmiała by „Antiarmia”, gdyby bębnił na niej „Grzmot”?

Zespół nie działa tak, że każdego muzyka możesz zamienić jakimkolwiek innym. Są ludzie po prostu niezastąpieni – grałem z takimi osobami jak właśnie Jasiu Rołt czy jego uczeń, Stopa, który nagrał z nami „Legendę”, „Triodante” i „Ducha”. Pewnego dnia wszedłem do kanciapy i zobaczyłem Janka pokazującego mu różne zagrywki. To był piękny widok. Dziś pewnie zrobiłbym zdjęcie czy nagrał krótki film i miałbym pamiątkę na całe życie, ale ten obraz na zawsze został w mojej głowie. Janek był genialnym muzykiem i dzięki temu, że graliśmy z nim na samym początku, nasza muzyka zaczęła brzmieć tak, a nie inaczej. On był jedyny w swoim rodzaju! Niezwykły człowiek i artysta. Granie z kimś takim powodowało, że i inni się starali. Perkusja w muzyce rockowej jest przecież najważniejsza – jak bębniarz jest kiepski, to muzyka nie może się przebić, po prostu nie ma czadu.

To Rołt grał na perkusji podczas waszego pierwszego koncertu?

Tak, to było w Hybrydach w czerwcu 1985 roku, po pół roku prób w tym klubie. Oprócz nas wystąpił wtedy Deuter, a my zaprezentowaliśmy początkowy repertuar i graliśmy około 40 minut. Pojawiło się dużo osób, a koncert był udany. Ludzie później mówili mi: „fajnie gracie, no i skąd wzięliście takiego pałkera?”. Janek nie był punkowcem i nie wszyscy go znali, ale podczas naszego pierwszego występu od razu zwrócili uwagę na jego wirtuozerię. Tak właśnie pamiętam Janka, który zrobił bardzo dużo dla stylu Armii. A koncert został zarejestrowany na taśmę szpulową w całkiem dobrej jakości. Niestety, te nagrania zaginęły, ale niektórzy zapamiętali to brzmienie. Maken, który miał to przebrane na kasecie wspominał, że „Nic już nie przeszkodzi” było tak zdubowane, że brzmiało jak jakaś kosmiczna muzyka.



W 1999 na rynku pojawiła się druga edycja „Antiarmii” wydana nakładem Ars Mundi, na której znalazły się aż 23 utwory – oprócz właściwych numerów trafiły tam zarówno utwory ze składanki, jak i piosenki nagrane przy okazji reedycji: na przykład instrumentalne „YZZZ” z repertuaru Rush.

To były czasy, kiedy firmy wydawnicze wypuszczały stare płyty z tak zwanymi bonusami i my też niestety daliśmy się na to namówić. A że w składzie Armii znajdowali się wtedy wielcy fani zespołu Rush, to nagraliśmy swoją wersję „YYZ” o lekko zmienionym tytule, w którą wpleliśmy własne cytaty z „Triodante”. Lubię sobie śpiewać różne ulubione kawałki, na przykład Cata Stevensa, ale na razie nie będę ich nagrywał. (Śmiech)

W recenzji „Antiarmii” z września 1988 Wiesław Królikowski, oczywiście w „MM”, powtórzył plotkę, jakoby Armia miała być ulubionym zespołem... krajowych skinów.

Nie wiem, co w naszej muzyce – a szczególnie w tekstach – miałoby być takiego skinowskiego? Akurat wtedy, czyli pod koniec lat osiemdziesiątych, na koncerty undergroundowe – punkowe czy nowofalowe – przychodziło dużo skinów i zazwyczaj kończyło się to bijatykami i przerywaniem imprez. Całe szczęście, że gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych to się skończyło. Wydaje mi się, że chuligani przenieśli się na stadiony, tam się czuli znacznie naturalniej niż na koncertach.

W tej samej recenzji Królikowski w twórczości Armii zobaczył nawet nawiązanie do... heavy metalu. Zasugerował, że utwór „Siódmy” w całości jest bardzo zbliżony do wczesnych nagrań Black Sabbath.

Nigdy w zespole Armia nie mieliśmy metalowego nastawienia. Wiadomo, że były czasem ciężkie rify, ale żeby od razu Black Sabbath? Jak już to „Siódmy”, który kapitałnie wychodzi teraz na żywo, przypomina mi Bad Brains.

Jak nowy skład odnajduje się w najstarszych piosenkach Armii? Gdy ostatni raz rozmawialiśmy przyznałeś, że sposób grania Stanisława najbardziej kojarzy ci się właśnie z Robertem.

Gramy na koncertach całą pierwszą płytę i muszę powiedzieć, że to strasznie „zre” na żywo! Publiczność jest, jak widzę, bardzo zadowolona i śpiewa z nami wszystkie teksty od początku do końca. Czad straszny! Stasię gra „po brylewskiemu”, a perkusista Amade po „stopowemu” i jest to wszystko bardzo „armijne”. Bardzo się cieszę, że dożyłem takich czasów. (Śmiech)

Robert w „Kryzysie w Babilonie” tak komentował twoje muzyczne motywacje: „Takich akordów, jak w kompozycjach Budzego po prostu się nie grało, były, jakby to jakiś wariat napisał”.

Skoro już jesteśmy przy tych źródłach inspiracji, to na mnie znacznie bardziej niż punkowe granie wpłynęła progresywna muzyka takich zespołów jak Rush, Genesis czy King Crimson. Wykonywaliśmy muzykę czadową, ale z nastawieniem reggae-progresywnym. (Śmiech) Faktycznie wygląda to na wariactwo, ale dla mnie nie były to żadne dziwne akordy, ja po prostu tak czuję muzykę!



AnMa Studio

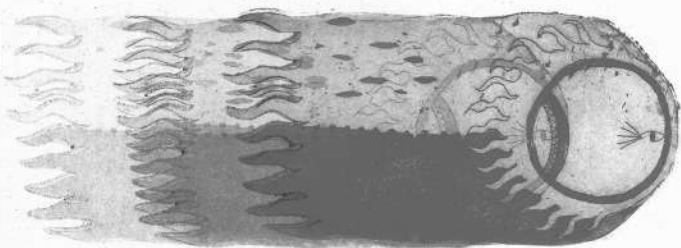
Ciekawi mnie też, jak ilustrujesz słowami swoje piosenki. Zauważyłem, że w wielu utworach wykorzystałeś fragmenty znane choćby z twoich wierszy publikowanych w „Tylko Rocku” – domyślam się zatem, że te myśli gdzieś krążyły, czekając na odnalezienie właściwego dla siebie miejsca.

Te słowa nie od razu się układają w piosenki. Moje teksty rodzą się... raczej z wizji plastycznych. Ja przede wszystkim jestem malarzem. Michał Jacaszek rozgryzł mnie mówiąc, że robię muzykę ilustracyjną. Muszę zobaczyć obraz, który potem będę mógł opisać słowami. Wszystko najpierw sobie wyobrażam. To nie jest tak, że wychodzę od jakiegoś słowa, idei czy pomysłu na utwór na zasadzie: „o, zaśpiewałbym o tym bo to ważne”. Bardziej nawet interesuje mnie brzmienie konkretnych słów niż ich znaczenie. Tak jak kolor w malarstwie. W swoich tekstach oczywiście korzystam z fragmentów, które napisałem wcześniej i które mi się spodobały albo zrobiły na mnie wrażenie – jak w przypadku przywołanych wierszy z „Tylko Rocka”.

W wywiadzie udzielonym wywoływanemu już dziś kilkakrotnie czasopismu w czerwcu 1991 wyznałeś, że podczas jednego z koncertów całkowicie na nowo zrozumiałeś tekst „Podróż na Wschód”. Po latach wciąż miewasz takie olśnienia?

Muszę powiedzieć, że dość często. Nawet trudno mi wyjaśnić to zjawisko, bo w tekstach zupełnie nie chcę przekazywać jakiegoś sposobu myślenia. Poezja nie jest do rozumienia i moich tekstów też nie trzeba rozumieć jak jakiegoś artykułu w gazecie z morałem na końcu. Poezja nie jest skierowana do intelektu, tylko znacznie głębiej i na takim poziomie odczuwania mi zależy. Powiedziałem „odczuwania”, a nie „rozumienia”. Ja to nazywam rozmową dusz. To przychodzi z czasem, niekoniecznie od razu. Rzeczywiście śpiewając kiedyś na koncercie „Podróż na Wschód” rozumiałem ten utwór na nowo i bardzo się wzruszyłem. Mam tak z wieloma swoimi tekstami. Czytam je po latach i myślę: „O, to o TO tutaj chodzi!”. To bardzo dobre uczucie. Sztukę widzę jak jakąś studnię bez dna, którą można odczytywać na nowo. Identyfikuję mam z książkami. Gdy po długim czasie wracam do literatury, na przykład dzieł Franza Kafki, odbieram i rozumiem ją całkowicie w nowy sposób, a wiele rzeczy czuję inaczej. Tak więc czuj i czuwaj!

TOMASZ BUDZYŃSKI



POD WULKANEM

Gdy usłyszałem smutną informację o zdjęciu twojej audycji „Melodramat” z anteny Radia Poznań, przypomniał mi się twój cytat sprzed ponad 35 lat z przywoływanego już wywiadu – „Polityka ogranicza wszelką działalność artystyczną. Gdyby nie ona, świat byłby szczęśliwy i piękny. Zespół Armia zwalcza politykę”.

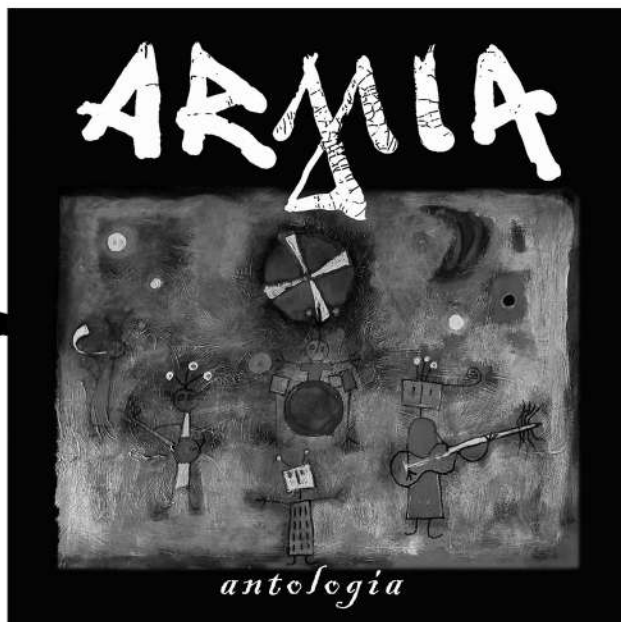
Jak widać nic się nie zmieniło. Odkąd żyję na tym świecie, polityka jest wrogiem człowieka i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zespół Armia był zawsze apolityczny. Bardzo mi się podoba to, co powiedział Bob Marley – „nie jesteśmy ani po stronie lewicy, ani po stronie prawicy. My jesteśmy po stronie Boga”. Mogę powiedzieć dokładnie to samo.

Skoro poruszyłeś takie metafizyczne kwestie, nie mogę nie nawiązać do najnowszego albumu 2TM2,3. – „SVRSVM CORDA”. Mocna rzecz!

Wiele lat minęło, odkąd nagraliśmy z 2TM2,3 ostatni czadowy album i już powoli odczuwaliśmy potrzebę, żeby zrobić coś nowego. Podoba mi się ta płyta, a jeszcze bardziej jak gramy ją na żywo. Utwory dostają wtedy większej energii. Ostatnio zagraliśmy złożoną z sześciu koncertów trasę i niezwykle podobało mi się nasze brzmienie – zaryzykuję stwierdzenie, że było jeszcze lepsze niż na płycie! 2TM2,3 to zespół jedyny w swoim rodzaju. Mamy bardzo dobry repertuar. (śmiej) Liczę na jeszcze więcej występów na żywo – czadowych i akustycznych.

Muszę jeszcze spytać o twoją solową płytę „Pod wulkanem”. Co powiesz o tym wydawnictwie z perspektywy 2 lat od premiery?

Niestety nie do wszystkich ten mój bardzo osobisty przekaz dociera, ale ja jestem bardzo zadowolony. Od strony komercyjnej moja solowa twórczość to jednak kompletna porażka. Mimo tego uważam, że to najlepsza płyta, jaką nagrałem. Jest bardzo piękna i żarliwa. Szczególnie cieszę się, że tak owocnie ułożyła się współpraca z moim synem.



Za to całkiem sporo osób odnotowało ubiegłoroczną dwupłytkową „Antologię” Armii, która debiutowała nawet na szóstym miejscu OLIS-u.

Zasadniczo to ja nie jestem wielkim fanem takich wydawnictw. To trochę tak, jakby zespół nie miał nowego do powiedzenia i na zasadzie „ratuj się kto może” sięgał po starocie. Ale okazało się, że mamy sporo ciekawych nagrań z dawnych lat, nigdzie wcześniej niepublikowanych. Wiele osób namawiało mnie do wydania takiego albumu. Nie jest to składanka największych przebojów, ale jak bardzo trafnie napisał Bartek Koziczyński: „alternatywna historia zespołu Armia”. Wydaliśmy ją nawet z pewnym „sukcesem”. (śmiej)

Czy wiadomo już, kiedy będzie można spodziewać się nowej płyty Armii? Macie dużo gotowych świeżych numerów?

Można się spodziewać pod koniec roku, muzyka jest już nagrana. Na koncertach wykonujemy instrumentalne wersje kilku nowych utworów i widzę, że publiczności się podoba. Tymczasem wokalista spaceruje po lesie i pracuje nad tekstami.

Tradycyjnie muszę już zakończyć koszykarskim wątkiem. Ten wywiad ukaże się mniej więcej przed finałami NBA – a jak oceniasz tegoroczny sezon zasadniczy najlepszej ligi świata?

Bardzo mi się podobają drużyny, które nigdy nie były na czele, a teraz przodują w NBA. Z przyjemnością oglądam Oklahomę City Thunder czy Orlando Magic, kibicuję też Houston Rockets, którzy w tym sezonie niestety nie awansowali do play-offów. Znacznie bardziej niż tych starych atletów wolę młodych zawodników latających nad obręczami. Powiem szczerze, że zwycięstwo należy się Bostonowi, ale w finale pewnie znów trafią na Denver i przegrają. (śmiej)





Rimbaud (CD: Gusstaff Records, 2015)

## O płycie „Rimbaud” Tomasza Budzyńskiego, Michała Jacaszka i Mikołaja Trzaski

9 czerwca minie już 9 lat od premiery płyty „Rimbaud” – jednego z najciekawszego i najodważniejszych albumów, jakie w trakcie całej swojej bogatej kariery nagrał Tomasz Budzyński. Duża w tym zasługa towarzyszących mu instrumentalistów – Mikołaja Trzaski (obsługiwane przez niego saksofony słyszeć mogliście usłyszeć między innymi na płytach Miłości, Łoskotu, Shofaru i setki innych projektów artystycznych, a ostatnio głównie w filmach Wojciecha Smarzowskiego) oraz Michała Jacaszka (podpisanie we wkładce jego udziału w projekcie jako „electric power” to dobre podsumowanie zadania, które wziął na swoje barki ten niezwykle zdolny i płodny producent). Z okazji nadchodzącej rocznicy prezentujemy fascynującą analizę autorstwa Witolda Zimowskiego dekonstruującą wiele poziomów płyty zainspirowanej twórczością dziewiętnastowiecznego francuskiego poety z awanturniczym życiorysem. Więcej tekstów autora znajdziecie natomiast na blogu [antiantiwiki.blogspot.com](http://antiantiwiki.blogspot.com) – polecamy z pełną odpowiedzialnością. A jeśli jeszcze nie słyszeliście „Rimbaud”, koniecznie nadróbcie! (MP)

### Część I

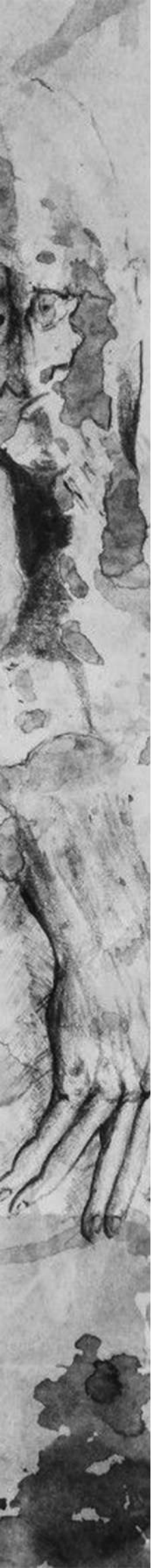
#### Samogłoski

Wokalnie płyta zaczyna się od wokalizy na dwóch samogłoskach. A i O brzmią też, grzmią, w pierwszych słowach albumu: tArczO włOchatA, ArmatO.

Sam Rimbaud w wierszu „Samogłoski” (tłumaczenie Ważyka) wyjaśniał: „A czerń”, „O błękity” znaczy. Poeta, zapuszczając się w głąbie znaczeń tych dźwięków, przeciwstawiał je sobie, umieszczał na dwóch końcach skali: „A, czarny i włochaty gorset lśniących wspaniale / Much, co brzęczą w odorze, cień w zatokę zaszyty”; „O, trąba niebiańska, co dziwne świsty kotysze, / Obszary, gdzie Anioły i Światy prują ciszę”. W tych dwóch dźwiękach zdają się więc ukrywać tajemnice – nocy i dnia, ziemi i nieba. Straszliwych hałasów i głębokiej ciszy.

#### Totem

Pierwsze co przyszło mi do głowy podczas słuchania – zapewne pod wpływem linorytu Józefa Gielniaka, umieszczonego na okładce – to to, że osiem utworów na płycie jest jak



cykl ośmiu grafik. Za pomocą popielnych obrazów opowiedziana została tu pewna historia. I każdy słuchacz – a zarazem widz – mocą swej wyobraźni będzie odczytywał ją po swojemu.

Pierwsza w kolejności praca – szczególnie ekspresyjna „Armata” – stanowi stronę tytułową cyklu. Pełni tę funkcję, kumulując radioaktywną wręcz moc całości. To groźny totem, ustawiony na trzech nogach. Wszak trójnogiem nazwał zespół Budzyńskiego, Jacaszka i Trzaski wydawca.

### Wizje

Właściwy początek opowieści można znaleźć w innym miejscu – tam gdzie wrzuca nas utwór „Potop”. Barbarzyńskie pustkowia, czarny ląd, z dymiącym jeszcze, lepkiem mułem. Pod jego warstwą, bez powierza i światła, ginie, obumiera, ale kiekuje, eukariotyczne ziarenko. Jego biały, wiotki pęd omdlewając wydłuża się i nieświadomie przebija przez warstwy martwej gleby, ku powierzchni. Ku księżycowemu światłu, ku dzikiemu światu. „Matinée d'ivresse” obrazuje inne doświadczenie: już napowietrzne. Doświadczenie lekkości dmuchawca, może nawet lotu w nieznanym kierunku. Wyraźne są te sferyczne elementy, kształty kuliste. Ale może to po prostu ogromna, złotożółta tarcza Księżycy? „Fêtes de la faim” przyjmuje inne kształty, ubiera w nie jakąś niepokojącą, biologiczną, rytualną siłę. Ma mięśnie, w których tli się ogień, a na czarnej skórze wypływa pot. W „Enfance” z kolei faluje jezioro. Hipnotyzuje łagodnymi uderzeniami: fala za falą, fala za falą. Chmur powyżej nie słyhać, ta katedra spływająca z góry wypełniona jest ciszą. Kojąca wizja piękna spoza czasu. Jak „obłoki ponad / Bałtykiem, w lecie!” u Brodskiego, jak „morze, co łączy się ze słońcem”.

Odnaleziono wreszcie? A potem uleciało.

### Dekonstrukcja

„Phrases” lśnią zieleniami, mruczą brązami, które rozbrzmiewają w pastoralnej przestrzeni. Skądś jednak biorą się zakłócenia, pojawiają się dziwne przebiecia w tych wizjach. Czy to sen rwie się? Czy to z za mitologicznych obrazów przebiera rzeczywistość? Atak jest coraz bardziej gwałtowny, to „biali łądują!” („Jesteście fałszywymi murzynami”). I słyhać coś na kształt przeraźliwego echa trąby ostatecznej. Koniec.

### Wizja humanistyczna

Ostatni obraz na płycie – „Ja to ktoś inny” – to wizerunek człowieka. Nie portret jednak, nie popiersie. Wizja rwie się, wykoślawia, migocze. Przysłaniają ją jakieś koszarne flashbacki. Ludzką sylwetkę z tego chaosu wydobywa jednak tęsknota, a wraz z nią dojmujący smutek. Dlatego widać wyraźnie. Ciało, które jest jak porzucona, podniszczona, ale wciąż piękna forma. Można w niej dostrzec rodzaj hieroglify. Nie wiemy jednak, jak zabrzmiałby ów tajemniczy ideogram odczytany na głos. „Ja, to ktoś inny”. Warto jednak zaznaczyć w tym miejscu, co zapisano o człowieku w kabalistycznej „Księdze blasku”: że jego postać jest postacią doskonałą, że jest to „forma, zawierająca w sobie wszystkie formy”. Ten

kontekst uwydatnia – na zasadzie bolesnego kontrastu – dramatyczną, egzystencjalną wymowę albumu.

### Owoc

Płyta ma układ symetryczny. Soczysty, francuskojęzyczny środek otoczony jest utworami przetłumaczonymi. Dokładają się do tego ciche dźwięki fortepianu. Słuchając, przebijamy się przez kolejne warstwy – do jądra ciemności. Albo też do kresu nocy – wszak to co najważniejsze, znajdujemy nie w mięszu, nie w pestce – ale na zewnątrz. A ta wizja człowieka – ostatni na płycie utwór – jest jak ogonek utrzymujący całość na gałęzi. I on nagle się urywa. Na dźwięku O.

## Część II

### Klepsydry

Poetyka płyty „Rimbaud” od początku wydała mi się pod pewnymi względami podobna do poetyki „Sanatorium pod Klepsydrą” Hasa. Pewnie chodzi o nastrój niektórych części, specyficzny rodzaj surrealistycznego obrazowania, a także domniemywany przeze mnie element żydowskiego mistycyzmu. Zresztą gęsta tkanka filmu, ten ciąg przygód, wizji i awantur głównego bohatera, w niektórych momentach nicuje się w sposób przypominający opowieść z płyty.

Spod jednej rzeczywistości przebiera tam inna, a wszystko okazuje się przebiegać w dojmującym kontekście śmierci i przemijania całych światów.

### Ektoplazmy

A jaka właściwie jest natura rzeczywistości przedstawionej na płycie? Czy jest to sen, przestrzeń duchowa, pamięć genetyczna? A może halucynacja, albo też owoc poetyckiej wyobraźni? I co to za napięcie między owym – nieokreślonym, a wyrazistym – wewnętrznym mięszem, a rzeczywistością, która przebija się z zewnątrz, wprowadza zakłócenia, nieledwie unicestwia wcześniejsze wizje? Do tego mamy jeszcze ciszę, która zapada po wysłuchaniu albumu. Otulając go stanowi kolejną warstwę.

Przypomnijmy jak naturę rzeczywistości rysował Bruno Schulz. Pisał on o „fantastycznej fermentacji materii”, która pojawia się niekiedy w miejscach „przesyconych emanacjami wielu żywotów i zdarzeń”, a zwłaszcza w „rumowiskach obfitujących w humus wspomnień, tęsknot, jałowej nudy”. To właśnie tam – jak głosi „Traktat o manekinach” – pojawiają się „formy graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ektoplazma somnambulików, pseudomateria, emanacja kataleptyczna mózgu, która w pewnych wypadkach rozrasta się z ust śpiącego na cały stół, napełnia cały pokój, jako bujająca rzadka tkanka, astralne ciasto, na pograniczu ciała i ducha”. Opis ten nieźle pasuje do poetyki albumu „Rimbaud”, a w świetle rzuconym przez Brunona z Drohobycza widać wyraźniej, że na pograniczu owych dwóch rzeczywistości – może zawsze jest to najpierw sen i jawa – rodzi się jakieś fundamentalne, pierwotne cierpienie.

„Przecież płakać nam, moje panie, trzeba nad losem własnym na widok tej nędzy materii, gwałconej materii, na której dopuszczono się straszego bezprawia. Stąd płynie, moje panie, straszny smutek wszystkich błazeńskich golemów, wszystkich pałub, zadumanych tragicznie nad śmiesznym swym grymasem”.

### Sens

Zdaje sobie sprawę, że przywołanie obrazowania Schulza zatarło trochę klarowność wyводу, ale nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, zwłaszcza ze względu na postać golema. Teraz za to spróbuję być bardziej konkretny – spróbuję określić główny temat „Rimbaud”.

Otóż moim zdaniem płyta ta mówi o poszukiwaniu głębokiej samoświadomości, o próbie poznania własnej, metafizycznej tożsamości. Najpierw mamy więc do czynienia z obrazem radykalnego pójścia „całą wstecz” – w poszukiwaniu pierwotnego matecznika, własnego źródła, gdzie poza określanymi cywilizowanym umysłem czasem i przestrzenią. Porzuca się więc ścieżki tej rzeczywistości, a wpada w inną – w świat archetypów i symboli. Ale chodzi o to, żeby pójść jeszcze dalej, nawet poza ich względnie bezpieczny, bo wciąż niejednoznaczny, labirynt.

Czy taka próba może się powieść? Dalszy ciąg płyty zdaje się mówić, że nie. TAM już nie da się wrócić.

Można próbować w nieskończoność, a na koniec i tak zostaje tylko ten zagadkowy hieroglif. Wyniszczone ognistym mieczem ludzkie ciało, rozciągnięte na szpitalnym prześcieradle.

Niemniej cisza tęskni za głosem, którym ktoś kiedyś odczyta wszystkie zmarłe, tajemnicze znaki.

### Commentarii in Somnium Scipionis

Motyw zagładania pod podszewkę rzeczywistości, rozwijania świadomości w oparciu o sen, przeczucie, rzeczy niewidzialne, zaświat, to rzecz, która w naszym kręgu cywilizacyjnym ma długi rodowód. U źródła tego typu wizji, tkwi podobno – mówię w oparciu o „Odrzucony obraz” C.S. Lewisa – fragment dzieła Cyserona, napisany około 50 roku przed Chrystusem, a znany jako „Sen Scypiona”.

Scypion Młodszy zostaje nawiedzony we śnie przez zmarłego dziada – sławnego Scypiona Afrykańskiego. Razem unoszą się oni aż do najwyższej sfery niebieskiej (stellatum) i stamtąd spoglądają na kulkę Ziemi – znikomą wobec wymiarów kosmicznych. W ten sposób Scypion Młodszy poznaje budowę kosmosu, ale też pewne prawidła moralne oraz ich kosmiczne uzasadnienie. Pewne rzeczy lepiej widać z nieziemskiej perspektywy.

„Sen Scypiona” zainspirował Lukana: w jego wizji dusza Pompejusza ulatuje w niebo – wprost z pogrzebowego stosu. Znów widzimy w dole malutką Ziemię. Ale u Lukana pojawia się też Księżyc, którego sfera – jak twierdzili późnostażożytni naukowcy – oddziela eter od powietrza, czyli świat bogów od świata demonów.

### Lunacja

Zgodnie z dawną wizją to, co znajduje się poniżej Księżycy, ulega ciągłym przemianom, jest nietrwałe, psuje się i niszczy. Powyżej Księżycy za to króluje niezmienny, boski porządek – wieczny, jasny dzień. Pojawia się więc tu ten rodzaj kontrastu, który już znamy: czarna noc ziemskiej rzeczywistości oraz błękit świata eterycznego, rzeczywistości niebiańskiej. A i O. Nietrudno wykazać, że płyta „Rimbaud” przedstawia ową ciemną stronę kosmosu. Rozświetla ją jedynie claire de Lune, wszak Księżyc jest jedynym wyraźnie wspomnianym na płycie ciałem niebieskim. Nasza historia rozgrywa się więc tam, gdzie Makrobiusz (autor znanego komentarza do „Snu Scypiona”) widział jedynie „odpadki stworzenia”.

Przesłe tradycje z Księżycem łączyły srebro. Pierwiastek ten miał wywoływać u ludzi skłonność do wędrówki. Mogło to być zwykłe podróżowanie: w poszukiwaniu nowych ziem, za zyskiem, powiedzmy z handlu bronią. Ale mogło to być również niebezpieczne błąkanie się, także w znaczeniu lunacji, a nawet obłąkania. Wędrówka do kresu nocy, do jądra ciemności, w poszukiwaniu własnej tożsamości zdecydowanie też wchodziłaby w grę.

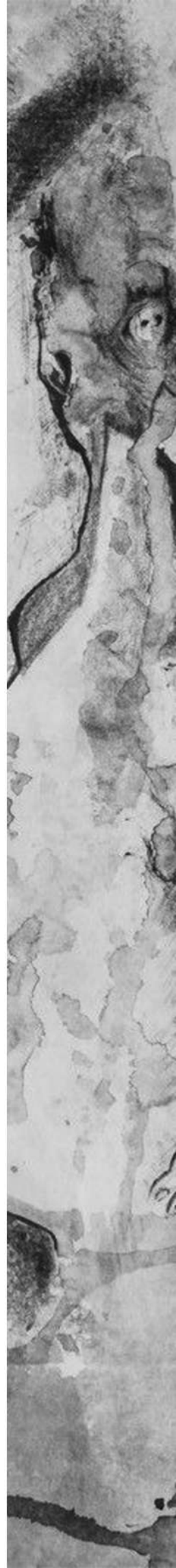
W takich wędrówkach dobrze jest mieć towarzysza. Scypion Afrykański prowadził Scypiona Młodszego. Dante – bo „Boska Komedia” też należy do utworów inspirowanych snem Scypiona – wędrował pod opieką Wergiliusza. I w naszej opowieści przewodnikiem jest poeta. Z Wergiliuszem łączy go to, że ponadksiężycowy wzlot nie był dla niego możliwy. Dalej potrzebny byłby jeszcze inny towarzysz, jak u Dantego Beatrycze. Nie z tego świata. Ale jej ciągle nie ma.

## Zakończenie

Z tych coraz bardziej rozmywających się dywagacji wyprowadźmy ostatni wniosek. Kosmiczne światy, o których pisali starożytni i średniowieczni, miały określoną strukturę. Były uporządkowane, zbudowane według proporcji i harmonii, jak kosmiczne świątynie. Świat przez który prowadzi Arthur Rimbaud już taki nie jest. Piękne wizje stulecia zdmuchnęły jak Akwilon katedrę z chmur. Lewis mówi: „spojrzeć w nocne niebo nowoczesnymi oczami, jest to jakby patrzeć na morze, które zanika we mgle albo patrzeć wokoło w bezdrożnej puszczy – wszędzie drzewa i nie ma widnokręgu”. W tym nieokreślonym miejscu, na samym dnie roku – w pierwszej połowie grudnia – się rozstajemy.

A Mickiewicz również starał się objaśnić znaczenie głosek, choć nie na sposób synestetyczny. Pisał „O – we wszystkich dialektach słowiańskich znaczy ogół (uniwersum)”; „A – jest w sferze ludzkiej tym czym O w sferze świata”. Można przywołać jeszcze porządek liter w greckim alfabecie. Tarczo włochata. Sam Rimbaud kończy „Samogłoski” wezwaniem: „Omego!”. I brzmi to trochę jak „przyjdź”.

Witold Zimowski





# Hotel Centrum / Imperium

## Bierzemy wiosło i lecimy!

15 kwietnia 2023 miała miejsce koncertowa promocja kolejnej pozycji w katalogu wydawnictwa Czerwone Miasto – archiwalnej kompilacji Hotelu Centrum / Imperium zatytułowanej „Bilonowy deszcz. Archiwum 1982-83”. Niedawna rocznica premiery tej płyty to dobry pretekst, żeby przysłuchać się wspominkowej rozmowie muzyków współtworzących tę działającą w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych i znaną pod dwiema nazwami grupę. Dyskutowali: kompozytor, tekściarz i gitarzysta Edward Skrzypczak, a także perkusista Lech Pańczuk. Na trzeciego wbił się Michał Przechera.

**Edward Skrzypczak:** Wychowałem na się na Beatlesach, a moje korzenie wywodzą się z lat sześćdziesiątych – zarówno jeśli chodzi o muzykę gitarową, jak i śpiewną. Pewnie z tego powodu nigdy nie tolerowałem kompozycji pozbawionych harmonii oraz braku wpadających w ucho szlagwortów. Chyba właśnie dlatego moje piosenki i nasz styl były bardziej melodyjne niż hardrockowe. Wtedy zresztą największą popularność zdobywało gitarowe granie i nikt się nie bawił w dmuchane instrumenty czy poszerzanie składu o smyczki. Bierzemy wiosło i lecimy!

Grało się muzykę łatwą do zaadaptowania. Prostsze kawałki Beatlesów, przeboje Rolling Stonesów czy Creedence Clearwater Revival. Ogromnie cierpieliśmy na niedobór materiałów – brakowało i płyt, i magnetofonów, to była droga przez mękę. Ciekawe polskie audycje mogliśmy policzyć na palcach jednej ręki – Studio Rytm, Lista przebojów Rozgłośni Harcerskiej i tyle. Z czasem media zaczęły grać nieco więcej muzyki, pojawiły się nawet teledyski w telewizji, i na tym się bazowało. Gdy na Zachodzie wychodziła płyta, to równoległe z nią wydawano książeczkę z transkrypcjami utworów – gitarzysta od razu miał dostęp do nut, akordów i nawet początkujący muzyk

mógł zabierać się za nowości. My musieliśmy kilka razy cofać magnetofon, żeby próbować odwzorować jakąś zagrywkę. Ciężko było zostać dobrym instrumentalistą. Mi w odbiorze zagranicznej muzyki pomógł też fakt, że w szkole średniej miałem pięć lekcji angielskiego tygodniowo – to była jedyna taka klasa we Wrocławiu. Nie starałem się jednak pisać w tym języku, w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych to by nie przeszło.

**Lech Pańczuk:** W Śląskiej Estradzie Wojskowej przymierzaliśmy się do zagrania „Feelings” – standardu Morrisa Alberta. Z góry dostaliśmy zakaz. „Co wy gracie, co wy robicie? Jaki język angielski? Język wroga!” – góra zawyrokowała i nie było dyskusji. Podczas występów w Parnasiku graliśmy zagraniczne rzeczy, ale bardziej popowe. Przygotowywaliśmy się do kontraktu w Niemczech ćwicząc zachodnią muzykę – piosenki Bee Gees czy Eagles. Uczyliśmy się tych numerów nasłuchując Radia Wolna Europa. Mieliśmy jechać w styczniu 1983, ale złapał nas stan wojenny. Nie wyobrażaliśmy sobie, żeby zrezygnować z grania nawet zostając w Legnicy, więc nawiązaliśmy kontakt z Edwardem, który szukał muzyków.

**Edward Skrzypczak:** Ja też planowałem wyjazd – z tym, że do Anglii. Na 19 grudnia miałem termin odbioru paszportów dla siebie, żony i dziecka. Raczej nie chciałem wracać do Polski, ale pewien niedzielny poranek wszystko zmienił. Muszę tylko dodać, że na krótko przed powołaniem zespołu kupiłem bardzo dobrą, lutniczą japońską kopię Gibsona Les Paul, do niedawna miałem jeszcze paragon, ale przy przeprowadzce gdzieś zaginął. Wiosło nabyłem właśnie podczas pobytu u znajomych w Londynie i wydałem na nie całe oszczędności.. To było ze dwa miesiące przed stanem wojennym i tak zostałem z gitarą jak ten Himilsbach z angielskim. Myślałem, że już nigdy na niej nie zagram. Święta zleciały jeszcze jako tako względnie, ale w styczniu zrobiło się smutno. Wszystko poodwoływano. Radio ani telewizja nie transmitowały niczego ciekawego, więc dla zabicia czasu spróbowałem skrzyknąć ekipę. Rozpuściłem wici, ale byłem nowy w Legnicy i zupełnie nie znałem środowiska. Raz zagrałem w Parnasiku, a paru ludzi kojarzyłem z widzenia. Poszedłem do szkoły muzycznej, odwiedziłem jednego z muzyków, ale wszyscy mi odmówili. Pewnego dnia jednak odwiedził mnie kolega Irek Kowalczyk i powiedział, że jest chętny i ma też ludzi do grania. Bardzo chciałem sprawdzić swoje kompozycje z dobrymi muzykami. Przyprowadził Leszka, pokazałem im kompozycje – na tyle, na ile mogłem – i postanowiliśmy spróbować.

Hotel Centrum powstał 1 lutego 1982 i po sześciu miesiącach mieliśmy gotowy repertuar na płytę długogrającą. Chłopcy prezentowali wysoką kulturę muzyczną, ale do tej pory nie pracowali nad własnymi numerami. Ja przynosiłem teksty, linię melodyczną, kilka zagrywek i musieliśmy z tego zrobić coś do słuchania. Coś, co będzie miało klimat i związek muzyki ze słowami. Ostateczny sznyt i szlif zespołowi dała gitara Irka, który wymyślił dużo świetnych riffów i jeśli coś zaakceptował, graliśmy to. Komponowałem jednak pod siebie i swoją tonację. Gdy na wokal doszedł Włodek, zastanawiałem się, czy nie będzie dysonansu między frontmanem a tekstami. Jeśli by ich nie czuł, wszystko by mogło wyglądać i brzmieć sztucznie i musiałbym napisać coś pod niego. Na szczęście był już muzykiem po przejściach, po trzydziestce, i dopasował się. Bardzo się z tego cieszyłem, ale zaczęła się kolejna droga przez mękę – zdobycie sprzętu.

Pracowałem jako zwykły urzędnik i z roboty kojarzyłem Tadeusza Masojcia, ówczesnego dyrektora Legnickiego Centrum Kultury. Powiedziałem mu, że skoro przy Wojewódzkim Domu Kultury działa Urząd Celny, to ja też chcę założyć zespół. Zaczął podpytywać o szczegóły. „Jak to jaki zespół, rockowy! Najlepszy w Polsce” – zripostowałem z całym przekonaniem. I się

zgodził. Zakotwiczyliśmy przy LCK-u i powoli zaczęliśmy zbierać się do grania. Tadeusz zdobył pieniądze i dzięki nim zrobiliśmy dwa wzmacniacze-pierdziawki. Składaliśmy ten sprzęt właściwie głośnik po głośniku przy pomocy kolegi, który skończył politechnikę, bo o zakupie pieca czy efektu można było pomarzyć. Jakoś grały, ale patrząc w szerszej perspektywie to dopiero była katastrofa! Irek gdy dołączył do zespołu nie miał gitary ani wzmacniacza. W moim przypadku konkretne struny kupiłem jeszcze razem z gitarą, ale co zakładałem na nią później, to już nie wiem. Gotowało się zupę na strunach, które po chwili miały już brzmienie drutów.

**Lech Pańczuk:** Teraz gitary są coraz tańsze, tylko gitarzystów coraz mniej. (śmiech) Każdy chce iść w kierunku AI, a wszystko musi być przeciągnięte cyfrowo. Jako realizator z 40-letnim doświadczeniem jestem zwolennikiem nagrywania na setkę, to zupełnie inne emocje. Jeden drugiego inspiruje, a nawet jeśli ktoś się pomyli, to dodaje to autentyczności. Ale wróćmy do przeszłości. Gdy zaczynaliśmy z Hotelem, zamówiłem bębny u rusznikarza Rysia – bardzo przyzwoitą kopię Yamahy z białą okleiną. Naciągi Remo zamawiałem z Londynu. Szły pół roku. Były też polskie naciągi na licencji Everplay, ale lipne. Czasami jeździło się do sklepu muzycznego w Warszawie. Kolejny etap drogi przez mękę. Wtedy wypasionym sprzętem, takim jak choćby bębny Tama czy wzmacniacze Marshalla, dysponowały kapele ze Śląska. Kopalnie je finansowały i zdobywały im sprzęt, a po graty muzycy jeździli do Berlina. Dla nas sukcesem było zdobycie żelazka czy maszynki do mięsa.

Zdarzały się typowe akcje na poczekaniu. Serwisant, czyli Zbigniew Tymyk, siedział przy wzmacniaczu i sprawdzał, czy się nie dymi. Rzucił tylko „Ile to ma watów?” i na bieżąco naprawiał. Do realizacji nagrań udało mi się zdobyć magnetofon Yamahy, ale z drugiej strony dysponowaliśmy wyłącznie mikserem Vermona generującym masakryczny szum przy braku sygnału. Śmiałyśmy się, że trzeba czekać, aż woda się wleje. Ja wolę tego nie oceniać, ale z perspektywy czasu to jak na te możliwości sprzętowe nagrania wyszły chyba nieźle. A to wszystko rejestrowaliśmy przecież na tych śmiesznych dymiących piecach. Próby mieliśmy na parterze Akademii Rycerskiej. Pamiętam, że zamiast okien były tam poupychane prowizoryczne worki z trocinami. W trakcie jednej z piosenek taki wielki wór spadł na zaaferowanego grą Irka. Na szczęście był miękki i Irek wyszedł z tego starcia nienaruszony.

**Edward Skrzypczak:** Pierwszy koncert odhaczyliśmy już 1 maja, oczywiście w LCK-u. Kolejny występ daliśmy za miesiąc w Kinie Bałtyk. O dziwo był biletowany! Potem, na 22 lipca, zagraliśmy jeszcze w muszli koncertowej w parku. Zgłosiliśmy pełną gotowość do koncertowania. To był nasz najlepszy występ. Po 25 latach na dworcu we Wrocławiu zaczęła mnie jakaś kobieta wspominać tę imprezę! Powiedziała, że miała wówczas ciarki na plecach. Czuliśmy energię, było świetnie. Potem jeszcze pojechaliśmy do Krakowa, a w Krośnie zagraliśmy z Lady Pank. Byliśmy jednak w każdym calu na straconej pozycji, bo nie nagraliśmy przeboju. A jeśli go nie masz, to przegrywasz z każdym. Hit można było mieć tylko w Trójce, a „Królowa mlecznych barów” tam nie dotarła. Lista Radia Wrocław czy Jedyńki mogła wywołać co najwyżej śmiech. Na gorąco na scenie chwalił nas też Zbigniew Hołdys, komplementując właśnie „Królową...”. Innym razem, tak na zgranie, zaprezentowaliśmy się dla paru osób w Muzeum w Lubinie. Wśród publiczności był Zdzisław Janiak, gitarzysta Budki Suflera, doświadczony muzyk po występie na opolskim festiwalu. Jeszcze się wtedy nie znaliśmy. Po wszystkim chodził po klubie i tylko mamrotał, że jest zabity brzmieniem. Coś musiało w nas być, że na paru paczkach osiągnaliśmy efekt poruszający takiego nietuzinkowego gościa. Nikt nie prosił o recenzje, ale takie obiektywne wyrazy uznania były miłe.

**Lech Pańczuk:** Największy frekwencyjnie koncert daliśmy we wrocławskiej Hali Ludowej z Republiką, już za czasów Imperium. Zmieniliśmy nazwę ze względów komercyjnych i to był błąd. Na początku była w nas świeżość, a potem – jak poszliśmy do Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego – zaczęły się prostowania i sugestie, żeby coś zmienić. Ale największym błędem było jednak przejście do Estrady Krakowskiej. Całkowita porażka, chcieli z nas wyciągnąć pieniądze. Zbigniew Seifert powiedział, że fajnie gramy, ale powinniśmy zacząć pisać numery do tekstów jego żony. Teraz mam wrażenie, że nasza twórczość była momentami zbyt spontaniczna i przekombinowana. Każdy chciał dodać coś od siebie. Zabrakło wyrafinowania, dominowała młodość i to słycać.

**Edward Skrzypczak:** Musieliśmy wystąpić w Jarocinie, bo to był obowiązek każdej kapeli. Choćby zespół tworzyło czterech Chopinów, to brak występu na festiwalu dyskwalifikował z grona poważnych formacji. Pojechaliśmy tam już w 1982 roku, ale zagraliśmy kiepsko. Wyszedł nam tylko numer na otwarcie, „Będzie rock”, dostaliśmy duże brawa, a potem – nie wiadomo dlaczego – wybraliśmy złe utwory, a energia siadła. Nie podeszła „Autostrada”,

a „Królową...” wykonaliśmy za wolno i wszystko się rozwlekło. To już nie były te czasy, żeby tak przeciągać. Powinniśmy zagrać cztery szybkie, nie dać ludziom oddechu, i spadać. W trakcie występu zdjęli nas też z mocy, bo po uszach zaczęły dawać silne sprzężenia. Ludzi pojawiło się piętnaście tysięcy, nikt nas nie wygwizdał, ale finalnie nie byłem zadowolony. Oczywiście nie ma co narzekać, ale zawsze mogło być lepiej. Przypomina mi się też dobra anegdotka. Szliśmy z instrumentami na jarocińską próbę i minęliśmy ekipę siedzącą na murku. Leszek usłyszał, że powiedzieli o nas „stare chuje”. (śmiej) Ja się rzeczywiście czułem trochę stary. Nie rajcowało mnie kiwanie się dla dwunastolatków.

**Lech Pańczuk:** Pewnego dnia w Jarocinie zobaczyłem pod sceną ogromną zadymę. Byłem pewny, że to jakaś bójka. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że właśnie tak wygląda taniec pogo. Ale ja wcale nie czułem się stary!

**Edward Skrzypczak:** Ciekawym epizodem było też wideo, które nakręciliśmy dla Telewizyjnej Listy Przebojów w jeden dzień, na dwa podejścia. Na YouTube można znaleźć teledysk do „Bilonowego deszczu”. Graliśmy z playbacku i za pierwszym razem musieli sprawdzić, kiedy na kogo najechać kamerą. Typowo taśmowa robota: jedna dekoracja, zespoły po kolei schodziły i wchodziły. A wyposażenie? Popatrzyłem na bębny które przywieźli, potem na Leszka... obawiałem się, że pozabija tych ludzi, ale zachował spokój. Próbowałem odnaleźć cały piętnastominutowy program, w trakcie którego zagraliśmy cztery piosenki. Jeździłem do Radia Wrocław, negocjowałem z ludźmi, którzy teoretycznie mieli szukać w archiwach, ale finalnie po wielu wyjazdach dostałem odpowiedź, że materiał został skasowany podczas przegrywania na inne nośniki. Szkoda.

**Lech Pańczuk:** Na moje pytanie czy brać bębny odpowiedzieli, że nie trzeba, bo perkusja jest na miejscu. Bałem się w to uderzyć... Grałem bardzo mocno i jak walnąłem, to cały zestaw się przewrócił.

**Edward Skrzypczak:** W tamtych czasach w ogóle nie rozmawialiśmy o muzyce: jak chcemy grać, co grać i w jakim kierunku iść. Ja coś przynosiłem na próby i tak spontanicznie szło. Każdy miał jakieś fascynacje, czy to Stonesami czy Dire Straits – Irek też inspirował się tym brzmieniem Stratocastera. Najbardziej szkoda mi jednak potencjalnej drugiej płyty, gdzie zespół musiałby się określić, ale nie

miałem jeszcze za dużo nowego materiału. Kiedyś spotkałem na mieście Włodka i powiedział mi, że gra nasze stare utwory. Przeszedłem na koncert i rozpoznałem te dźwięki... To był dla mnie duży szok. Z 35 lat w ogóle nie słyszałem tych kawałków. Spotkaliśmy się, było miło i nawet napisałem mu nowy numer.

W takim sam sposób jak my rozpadły się setki innych zespołów w Polsce. Przychodziły „autorytety”, które chciały zarobić i mieszały w kapelach, a efektów można się domyślać. Dotykało to nawet formacji z topu – zespół RSC dobrze się zapowiadał i był całkiem znany, ale

kazali wyrzucić dwóch ludków i się posypało. Trzeba mieć dużą odporność i wierzyć samemu w to, co się robi. Przychodzili i podważali. Dobry przykład to Lombard, który chciał skroić na swoją miarę braci Melcer, którzy w końcu nie zaczęli z nimi współpracy. Ludzie z branży poczuli duże pieniądze i chcieli coś ugrać, a efekt był odwrotny. Wszystko też działo się bardzo szybko. Wpadliśmy w wariacki rytm, próby zdarzały się codziennie, a dopiero teraz mogę na spokojnie docenić choćby perkusję Leszka i go pochwalić za grę.

Lech Pańczuk: Order pośmiertny! (śmiech)



<<< Płyta HOTEL CENTRUM / IMPERIUM  
"Bilonowy deszcz. Archiwum 1982-83"  
(2CD, Czerwone Miasto, 2023)  
wciąż jest dostępna w sprzedaży:

- sklep stacjonarny - Galeria Satyrykon  
(Legnica, Rynek 36);

- wysyłkowo - info/zamówienia:  
e-mail - [bgk@lck.art.pl](mailto:bgk@lck.art.pl), tel. 781 612 983

il. Jakub Stefaniak





# TOŁÓR I TARAN,

CZYLI RZEŻ I MIAŻGA  
NA POLSKĄ NOTĘ

Zeszłoroczny Dzień Niepodległości każdy w mieście świętował, jakchciał. Był zespół folklorystyczny, był grzaniec na Rynku, było śpiewanie hymnu i biało-czerwona. Ale był też nieco cięższy, międzynarodowy „Independent Day” w 4pokojach, który należałoby przetłumaczyć raczej jako „Dzień Niezalu” czyli niezależnej muzy spod znaku czarnej czerni, a więc to co my - metalowe tygryski - lubimy najbardziej. Pół godziny masakrycznej ekstremy w wykonaniu pomieszanej etnicznie i stylowo berlińskiej grupy Rambukk poprawione godzinnym łomotem od strzegomskiego Disordera sprawiły, że każdy poczuł się jak w domu. „Polska, mieszkam w Polsce”, chciało się zanucić rozrzewniwszy się nad naszym narodowym pociągiem do metali ciężkich, procentów wysokich i gestów (patriotyzmu lokalnego, gościnności wobec gości) szerokich. Jednym słowem, najpierw pięknie przywitalim, potem zgrabnie pogowalim, a na koniec uczciwie upilim gości z bliska i daleka. Polskim niechrzczonym (no ba!) towarem. Płakali jak wyjeżdżali.

Grinder66

Rozmowa z Szymonem Leśniewskim, gitarzystą, współzałożycielem i liderem zespołu

## >>>>> RAMBUKK <<<<<

Jak do tego doszło, że band z Berlina znalazł się w 4pokojach, chyba najmnijszym klubie koncertowym zagubionym na mapie Dolnego Śląska? Przed i po tym włączyliście się po scenach Warszawy i Poznania...

Jak wspominać koncert? Bawiliście się na nim nie gorzej niż ludzie przed wami. Jesteście bardziej płytowi czy jednak sceniczni? Lubicie być po tej drugiej stronie - na widowni?

Do Legnicy trafiliśmy szukając miejsca do zagrania w drodze z Warszawy do Berlina. Odezwałem się do Oli, właścicielki lokalu, i okazało się, że chętnie nas przygarnie. 4pokoje dały się poznać jako bardzo klimatyczne i przytulne miejsce w centrum Legnicy, a Ola i jej ekipa jako znakomici ludzie!

Mamy nadzieję wrócić do Legnicy!

Wizytę wspominamy bardzo dobrze! Publika dopisała i okazała się bardzo otwarta na zespół, który grał przed nią po raz pierwszy. Zawsze staramy się, aby nasze występy były interesujące muzycznie i wizualnie. Jako, że nie mamy żadnej produkcji scenicznej, to musimy nadrabiać płasami. (śmiejch) Nam również sprawia to wiele





Rambukk (fot. arch.zesp.)

frajdy, a koncert nie jest po prostu nudnym odgrywaniem numerów. Szaleństwa na scenie to zdecydowanie nasz żywioł, ale w 2024 planujemy również wydać sporo nowych nagrań, a może nawet uda się przygotować kompletne wydawnictwo. Mieszkamy w Berlinie, nie narzekamy na brak koncertów, więc często wybieramy się na większe i mniejsze sztuki. Poza aspektem towarzyskim możemy przy okazji obserwować zespoły i wyciągać wnioski z ich występów. Nie da się też ukryć, że dobry koncert to zawsze kop energii i motywacji do działania.

**Rambukk to taran, a wasza muza faktycznie miażdży. Mauro Di Rosa, który drze koparę naprawdę wytrawnie i na parę sposobów, szkoli się z technik wokalnych u swojej żony, nauczycielki śpiewu. A jak pozostali z was doszli do tak imponującego poziomu?**

Dzięki! O taki efekt naszej muzyki zdecydowanie nam chodzi (śmiech). To prawda, Mauro ma pod ręką „pomocę naukową” w postaci bardzo utalentowanej żony. My jako instrumentalisci jesteśmy samoukami. Nasz basista Adrian jako młodzian brał lekcje gry na gitarze, a ponieważ to jego instrument w drugim zespole - berlińskim Torture Pit (sprawdźcie ich!) - w ostatnich latach szkolił się też u Vogga z Decapitated. Dima, prócz tego, że wytrwale studiuje własną perkusję, (śmiech) wspiera nas wokalnie, a ja po prostu lubię mieć w rękach gitarę i trwa to już pół życia. Każdy z nas od wielu lat robi swoje i stara się być coraz lepszym w swoim fachu. Tylko i aż tyle!

**Opowiedzcie o swoich pobocznych projektach. A może to Rambukk nim jest? Co porabiacie na co dzień oprócz spuszczenia nam metalowego wpierniczu ze sceny?**

Faktycznie, Rambukk był z założenia side projectem moim i Dimy. Krótco przed pandemią nasz poprzedni zespół - Barreleye - borykał się z problemami personalnymi. Zaraza nas oddaliła, bo niektórzy muzycy nie chcieli spotykać się na próbach, więc stwierdziliśmy, że w międzyczasie zrobimy coś swojego. Gdy Barreleye definitywnie przestał istnieć, Rambukk stał się naszym głównym projektem muzycznym. Znaleźliśmy wokalistę, którego potem zastąpił Mauro, a Adrian dołączył do nas jako basista. Każdy z nas udziela się też w innych kapelach, ale trudno nazwać je projektami pobocznymi. Dima gra we Frontal Angriff (hc/punk), Adrian na gitarze w Torture Pit (death metal), ja od niedawna na basie w poznańskim Hope (nu metal), Mauro natomiast dołączył do muzyków z Kava Hu (deathcore). Poza działalnością muzyczną prowadzimy w miarę normalne życie - praca, rodzina, dzieci. (śmiech)

**Patrząc na was widać na pierwszy rzut oka podobieństwo do muzyków Pantery, Machine Head, Sepultury czy Kataklysm, że odwołam się do ikon sceny. Wasza muza to połączenie inspiracji i osobowości z nurtu groove, core, grind, death, a nawet nu metal - coś byś tu dodał, ujął? A może masz ochotę opisać Rambukk jeszcze inaczej?**

Doskonale nas scharakteryzowałaś! Zawsze lubiłem zespoły, w których każdy muzyk wydaje się z zupełnie innej bajki, ale razem tworzą spójną całość. Myślę, że udaje nam się znaleźć wspólne pole do wyrażania się poprzez muzykę, mimo braku jakichkolwiek założeń i ograniczeń. Tak jak zauważyłaś, w naszej muzyce można znaleźć elementy hardcore, nu czy death metalu - często nawet w jednym utworze! Nasz styl ciągle ewoluuje i nigdy nie zastanawiamy się, w jakim akuracie jest dany utwór. Najważniejsza jest energia!



Disorder - live "4pokoje", 2023 (fot. Grinder66)

uznać założony cel za osiągnięty. Przez ten czas udało się nam zagrać między innymi z takimi zespołami jak: Trauma, Incantation, Bulletsized, Cyphonism, Collision, Azels Mountain, Spirits Way, Luna Ad Noctum, Victory Vain, Oblivion, Lost Soul, Embrional, Warbell, Decapitated, Hate, Mortuorial Eclipse, Thornafire, In The Name Of God, Hegony, Shodan, Hellspawn, Lilla Veneda, Vephar i wieloma innymi, więc wydaje się że te dwie dekady minęły dość owocnie. Po drodze pojawiły się nam zmiany w składzie, jak to w większości kapel bywa, ale najważniejsze, że przez te wszystkie epizody przeszliśmy obronną ręką dochodząc do najlepszej jakości Disordera. Nagraliśmy dwie pełne płyty, które w recenzjach zdobyły pochlebne opinie - „Confess” z 2006 i „Pure Hatred” z 2014. Właśnie skończyliśmy w studio M23 pracę nad trzecim krążkiem, zawierającym zestawienie dziesięciu najlepszych utworów od czasu „Pure Hatred”. Płytę promowaliśmy na paru koncertach. W marcu graliśmy w Świdnicy, Katowicach i Warszawie; w kwietniu w Łodzi i Wrocławiu, gdzie wystąpiliśmy przed Besattem. Było więc pracowicie i widowiskowo!

To jeszcze krótkie podsumowanko. Największy sukces oraz błąd, którego nie powtórzyłyś w zespole?

Opowiedz kilka zdań o historii zespołu i Waszych planach. Właśnie stuknęło wam 20 lat!

Czas leci, wszyscy to czujemy. Dwie dekady stuknęły nam w sumie nie wiadomo kiedy. W zasadzie to w 2004 roku, gdy powstał Disorder, marzyliśmy o tym, by grać na poziomie i stać się dzięki temu kapelą rozpoznawalną. Myślę, że można

Największym sukcesem jest to, że Disorder się nigdy nie poddaje. Co do błędów, to z pewnością miały one miejsce, ale gdyby człowiek wiedział, że upadnie, to by sobie krzesło wcześniej podstawiał. Są nieuniknione. Najważniejsze jest natomiast to, by poradzić sobie z ich negatywnym skutkiem i iść dalej do przodu.

Twój sceniczny image to ważna część show, a może nawet wzmocnienie przekazu? Czym on jest dla ciebie i na ile poważnie do tego podchodzisz?

Kaptur kata i gitara niczym topór robią wrażenie. Image jest częścią składową całości naszego przekazu, który chcemy oddać ze sceny. Od początku szukaliśmy swojej ścieżki, swojego miejsca i tego czegoś, co nas wyróżni spośród innych kapel. Ciężar muzyczny, jaki daje nasze granie, zgadza się i wzmacnia zarazem, gdy połączy się z tym, co się widzi na scenie. Przekaz, który niesiemy, jest prosty jak zwierzęcy instynkt - wchodzimy na scenę by zabić i pozostawić po sobie zgliszcza. Uważam, że aby to osiągnąć, trzeba podchodzić do takich rzeczy jak najbardziej poważnie.

Pub 4pokoje to bardzo przyjemna, ale nieduża przestrzeń. Jak grało się wam na jednej podłodze tuż obok garstki publiczności? Jak oceniasz klimat koncertu i miejsce?

Koncert w 4pokojach wspominamy dobrze, mimo niewielkiej frekwencji. Oczywistym jest, że skoro salka mała, to i ludzi dużo wejść nie mogło. Klub jak klub. Graliśmy w wielu norach - prawdziwych lochach i na dużych festiwalach i nie ma to dla nas większego znaczenia. Death metal nie wybrzydza i wszędzie brzmi dobrze. Sam lokal ciekawy. Fajny wystrój, o który właścicielka dba, bo to widać.

Zamiast zapytać klasycznie o inspiracje muzyczne, spytam o jakiś koncert, który ostatnio zrobił na tobie wrażenie.

W zeszłym roku największe wrażenie zrobił na mnie Łódzki koncert Pantery. W zasadzie to między innymi na nich się wychowałem i dużo wniósł tu sentyment, ale przyznać muszę, że naprawdę dali radę, a set przeniósł mnie w młode lata. Mimo zmiany składu dla mnie mega występ, który z pewnością na długo zapadnie w mej pamięci.

Gdyby, ktoś z Was Maniacy chciał posłuchać i obejrzeć naszych uprzejmych i elokwentnych rozmówców w roli rzeźników, w jakiej występują na co dzień, to polecamy teledyski:



# ZSZOPY PO PROSTU GRAMY...



Grupa Zszopy jest całkiem młoda wiekiem i stażem – to ich pierwszy wywiad, więc tym bardziej przywitajcie ich ciepło! Mimo niewielkiego doświadczenia scenicznego (choć w naszym mieście grali dwukrotnie, na Przeglądzie Muzycznym PMRock'2023 i niedawnym Festiwalu Pod Ciśnieniem) lubińska grupa wypracowała już własny styl i – z tego co przyznają jej członkowie – absolutnie nie zamierza się zatrzymywać. Na wizytę w Szopie zapraszają Bartek (wokół), Mati (gitara rytmiczna), Karol (gitara prowadząca), Tomek (bas) oraz Wiciu (perkusja). Pytania mailem wysłał Michał Przechera.

**Muzykę rockową coraz częściej utożsamia się ze starymi dziadami. Dlaczego zdecydowaliście się chwycić za instrumenty, podłączyć je do prądu i wbić się w chyba raczej mało popularną wśród waszych rówieśników estetykę?**

**Bartek:** Mało popularną? Większość moich znajomych słucha rocka i nie są to tylko szopownicy. Serio serio! Mam znajomych nie tylko z Szopy...

**Mati:** Koledzy od zawsze mówią, że jestem starym dziadem...a za instrumenty trzech z pięciu członków zespołu chwyciła z powodu Jaśka, czyli pierwszego perkusisty i basisty.

**Karol:** Nie uważam, żeby rock był muzyką dla starych dziadów. Mieszkając w Warszawie widzę masę młodych okołorockowych zespołów, których publiczność stanowią niemalże wyłącznie osoby niezawansowane wiekiem. Grupy jak Metro, Träume czy Marie Laveau pokazują mi, że tacy ludzie potrafią grać świetną muzykę w rockowym klimacie. Natomiast chwyciłem za instrument, ponieważ chciałem tworzyć sztukę. Padło na gitarę, która urzekła mnie tym, jak wiele emocji i energii piosenki są w stanie przekazać dzięki riffom.

**Tomek:** W moim przypadku chwycenie za instrument był po prostu pomysłem zbuntowanego nastolatka, który z czasem przerodził się w pasję, a ponieważ jest to moja pasja, nie ma dla mnie znaczenia to, co myślą rówieśnicy – robię to, co kocham.

**Wiciu:** Zaczęło się od niewinnego przyjścia do mojego przyjaciela Jaśka, który w swojej komórce – Szopie – miał perkusję i sprzęt gitarowy. Gdy dla zabawy usiadłem za perkusją, poczułem, że sprawia mi to przyjemność i zacząłem w to brnąć. Obecnie, pięć lat później, nie wyobrażam sobie życia bez bębnow. Jest to coś, z czym mogę się utożsamiać i żadne muzyczne trendy nie sprawiają, że będzie inaczej.

**Napisaliście o sobie: „Nie wiemy, jaki rodzaj muzyki gramy – ktoś wpada na pomysł i jakoś to idzie, płynie to po prostu z nas”. Skoro odrzucacie szufladki, to jakie macie muzyczne punkty odniesienia?**

**Tomek:** Każdy z nas ma inny gust muzyczny i zamiast starać się to połączyć w całość, po prostu gramy. Pracując z chłopakami, mogę powiedzieć, że inspiracje czerpią z takich zespołów jak Myslovitz czy Daft Punk. Jeśli chodzi o mnie, jestem fanem ostrzejszej muzyki i ma to swoje odbicie w postaci bardzo energicznego basu.

**Mati:** Wydaje mi się, że największym plusem tego wszystkiego jest fakt, że każdy z nas ma swój własny punkt odniesienia i muzykę, którą się kieruje, a później udaje nam się to łączyć. Mówiąc za siebie, wychowałem się na dziadowym Dżemie, a w pisaniu riffów odniesienia szukam we własnej interpretacji Midwestu.

Zszopy - Fire Me



Zszopy - Acid Rain



**Karol:** Mam wrażenie, że sporo różnych inspiracji zaczerpnąłem od chłopaków z Szopy. Nie chodzi mi tutaj tylko o nasz zespół, ale i całą społeczność. Często przychodziliśmy jako słuchacze na próby innych szopowych bandów. Polecaliśmy sobie różnych wykonawców i wspólnie eksplorowaliśmy gatunki muzyczne. Myślę, że ten proces mnie najbardziej ukształtował. W taki oto sposób poznałem zresztą gatunek, którym najczęściej się inspirowuję, czyli post-punk.

**Bartek:** Pamiętam, jak tato zabrał mnie do Saturna i pozwolił wybrać jakąś płytę. Jako mały dzieciak oczywiście zdecydowałem się na album z rysowaną okładką; to było „The Fall” Gorillaz. Przez pewien okres słuchałem tylko ich i chyba to właśnie ta grupa jest moim punktem odniesienia. Kocham łączyć gatunki tak samo, jak oni.

**Wiciu:** Odkąd zagłębiłem się w muzyce, staram się mieć umysł otwarty na nowe gatunki: od ostrych brzmień metalowych, aż do muzyki popowej i hip-hopu. Warto też dodać, że uczyłem się u muzyka jazzowego, tak więc z dystansem mogę podejść do tematu grania na bębnach. Szanuję każdą formę artystyczną i z tego zbioru staram się wyciągnąć wszystko, co najlepsze. Jednak najbliższe mojemu sercu leży rock. Zespoły, które niezmiennie przewijają mi się na słuchawkach to JANK i Swain, gdzie perkusiści potrafią stworzyć unikalną atmosferę do każdego utworu i nie boją się eksperymentować. Nie zapominam jednak, że proste bicie jest czasami tym, czego piosenka potrzebuje.

**Czujecie się częścią jakiegokolwiek sceny?**

**Tomek:** Czego?

**Bartek:** Nie wiem, czy kiedyś będziemy się czuć, my nawet nie wiemy jaki gatunek gramy...

**Karol:** Myślę, że to przyjdzie z czasem

**W sieć wrzuciliście siedmioutworowe demko - opowiedzcie coś więcej o tym materiale i... okładce.**

**Bartek:** Płyta „Acid Rain” to początek niedostawnej historii, trzeba czytać ją między wierszami i łączyć fakty. Okładka jest twarzą tekstów i swego rodzaju portretem mojej świadomości. Mimo wszystko chciałbym, żeby każdy interpretował to jak tylko chce. Lepszej interpretacji niż Twoja nie ma, drogi słuchaczu :)))

**Karol:** „Acid Rain” tworzyliśmy w trochę innym składzie. Jasek grał na perkusji, później na basie, a Wiktor doszedł do nas, gdy już trwały prace wykończeniowe. Tworzenie tej krótkiej EP-ki zajęło nam bardzo długo... Dopiero uczyliśmy się obsługi programów, kupowaliśmy odpowiedni sprzęt, ciągle lekko zmienialiśmy riffy, Bartek ćwiczył śpiewanie. Pierwsze pomysły zaczęły się, gdy byliśmy w drugiej klasie liceum, a wydanie materiału nastąpiło w klasie maturalnej. W mojej ocenie wszyscy na początku tworzenia EP-ki byliśmy kompletnie zajarani Alexem G i dlatego miejscami słyszalny jest ten indie vibe. Ja ciągnąłem swoimi riffami bardziej w kierunku post-punka, natomiast Mateusz szedł właśnie w stronę indie czy polskiego rocka. W porównaniu z naszym świeżym materiałem „Acid Rain” był tworzony bardziej kolektywnie na próbach, z kolei nasza nowa EP-ka jest pod tym względem mocniej zróżnicowana. Są utwory wymyślone w pełni przez jednego członka, jak również takie, które wspólnie skomponowaliśmy w sali prób - Szopie.

**Utwór „Black Dress” pokazuje, że potraficie też zabrać się za punk bez przedrostka „post”.**

**Bartek:** W tym numerze kompletnie odpuściliśmy i jest to tylko skrawek naszej umiejętności takiego grania.

**Wiciu:** Szopa to nie tylko zespół - to społeczność kilkunastu znajomych z Lubina i okolic. Próbowaliśmy nowych rzeczy, składy się zmieniały, a wyszło tak, że zaczynaliśmy od punka i metalu. Nie zamierzamy tego zapomnieć i dajemy o tym znać.

**Tomek:** Co prawda poprzednia płyta została nagrana bez mojego udziału, jednak mogę ze spokojem powiedzieć, że w przyszłości będzie więcej kawałków w podobnym stylu, a nawet nieco ostrzejszych.

**Śpiewacie po angielsku, jak zresztą wiele młodych kapel. Próbowaliście napisać jakieś utwory w mowie ojczystej?**

**Bartek:** Język angielski jest tylko formą artystyczną, częścią brzmienia i koncepcji w mojej głowie. Żeby coś napisać po polsku, muszę mieć pomysł i powiem Wam, że nawet go mam.

**Karol:** Obecnie kończymy płytkę, która jest swoistą kontynuacją „Acid Rain”. Po tym albumie zamierzamy nagrać polskie EP-ki.

**Tomek:** W tej kwestii daję wokaliście wolną rękę, jednak jest parę conceptów na przyszłość, a nawet udało mi się wyskoczyć z jakimś pomysłem, choć wymyślanie tekstów to nie moja bajka.

**Wiciu:** Jeśli wokalista jest w stanie lepiej uformować swoje myśli i wizje artystyczne w innym języku, to nie chcę w to ingerować. Oczywiście z doświadczenia wiem, że w ojczystej mowie wypada równie dobrze i jestem pewny, że prędzej czy później to udowodni.

**Pracujecie nad jakimś nowym materiałem? A może chcielibyście nagrać dotychczasowe numery w jakimś solidnym studiu? Czego możemy spodziewać się w najbliższym czasie z obozu Zsopy?**

**Bartek:** Pracujemy teraz nad kontynuacją „Acid Rain”, która pojawi się w tym roku, ale kiedy dokładnie? Nie wiem. Wszystkie instrumenty są zarejestrowane, zostałem tylko ja... cały czas poprawiam i nagrywam od nowa, choroba perfekcjonizmu. Na „Fire Me”, bo tak się będzie nazywać nasza następna płyta, będzie dojrzałej. Błędem poprzedniego albumu był moim zdaniem kiepski miks, którym zajmowałem się ja. Nie mówię, że bardzo zły, po prostu robiony na miarę naszych możliwości. Dodam nawet, że ma to swój szopowy klimat! Ale teraz się trochę podszkoliłem i na następnej płycie jakoś nagrań będzie o wiele lepsza. Podesyłam okładkę „Fire Me” – mam nadzieję, że się nie przestraszyacie.

**Karol:** Właściwie to nawet nie rozmawialiśmy o nagrywkach w studio.

Wolimy robić to samemu, bo wtedy nie ma presji czasu, a wszystko wychodzi bardziej spontanicznie. Reje strowanie naszej nowej płyty właśnie tak wyglądało. Dla przykładu jednej z naszych nowych piosenek nigdy nie zagraliśmy wspólnie na próbie, a mimo to jest ona na „Fire me”. Myślmy również o stworzeniu merchu. Jednak priorytetem są dla nas koncerty i nowa EP-ka.

**Mati:** Hell yeah, nowy album Zsopy pojawi się – miejmy nadzieję – do końca wakacji. Nowe brzmienia, aż nóżka sama tupie!

**Tomek:** Mamy parę pomysłów... work in progress. Raczej nie będziemy się zajmować starą płytą – nowości nam nie brakuje. Kolejna płyta lada moment, a my już mamy koncepcję na następną...

**Wiciu:** Na tyle, na ile pozwala nam życie prywatne, rozwijamy naszą dyskografię. Mamy w planach wydanie następnych płyt, z czego pierwsza jest na ostatnich etapach produkcji. Co do procesu nagrywek, nic nie jest pewne. Nie nagrywamy już w Szopie, ale z pewnością nie powstrzyma nas to w spełnianiu się muzycznie.

**W listopadzie wystąpiliście w Sali Maneżowej – czy uważacie, że forma przeglądów kapel to dobry pomysł na pokazanie się publiczności? Wiele kapel nie chce brać udziału w takich konkursach.**

**Wiciu:** Osobiście zawsze jestem chętny do brania udziału w tego typu wydarzeniach. Myślę, że jest to idealna okazja do zaprezentowania się światu i poszerzenia grona odbiorców. Sam też czerpię radość z uczestniczenia i odkrywania wielu niesamowitych wykonawców, z którymi mamy przyjemność grać.

**Bartek:** Nie rozumiem, czemu zespoły nie chcą brać udziału w takich przeglądach. Chyba są po prostu leniami. Koncert to jednak koncert, nawet jeśli jest w formie przeglądu.

**Karol:** Uważam, że to dobry pomysł, żeby się pokazać i poznać nowe kapele. Szczególnie, kiedy nie jesteśmy zbyt znani. To też świetna opcja, żeby porównać się z innymi polskimi zespołami, podpatrzeć, nad czym powinniśmy popracować.

**Tomek:** Koncerty gramy dla własnej przyjemności. Możliwość wystąpienia na takim przeglądzie pozwoliła nam spojrzeć na siebie krytycznie – zobaczyć, jak wypadamy na tle innych kapel i dopracować to, jak prezentujemy się na scenie. Mimo słabego występu w Sali Maneżowej jesteśmy zadowoleni, że postanowiliśmy tam zagrać – praktyka czyni mistrza.

**Znacie jakieś inne kapele z Lubina czy, patrząc szerzej, z Zagłębia Miedziowego? A może mieliście okazję od kogoś się czegoś nauczyć?**

**Mati:** Jasne! Dobrym przykładem jest Bałagan, którego jeden członek wystąpi gościnnie na naszej najbliższej płycie. Jest także nieszczęsne Destiny...

**Tomek:** Większość z nas to samouki i wszystkiego nauczyliśmy się sami – od masteringu po granie na instrumentach. Jeśli chodzi o kapele, to oczywiście słyszeliśmy o takowych, a nawet mieliśmy okazje grać z niektórymi, jednakże nie miały one większego wpływu na nasz rozwój.

**Bartek:** Znam świetnych ludzi, którzy grają tak, jakby zostali do tego stworzeni. Szkoda tylko, że albo nie mają motywacji, albo życie im na granie po prostu nie pozwala. Trzeba pracować, doskonalić się, robić kroki do zapewnienia sobie spokojnego życia... ale błagam, nie odpinajcie gitar.



# Epicus Gothicus Metallicus

Epicko, gotycko, metalowo - tymi słowami (pożyczonymi z płyty doomowych wyjadaczy z Candlemass) można by trafnie opisać zeszlóroczną edycję „czarnego Bolkowa”. Ale mocno korci, żeby dodać kolejne określenia: upalnie, klimatycznie, swojsko. Głośno, różnorodnie, profesjonalnie. Nietanio - cóż, za jakość, urodzaj koncertów, dobre piwo i żarcie (a także tłuste koty prezesa i wojnę Putina) trzeba płacić.

29. Castle Party gorało żarem z nieba i smołą z piekła. Regularne ponad 30 kresiek od rana do wieczora wystawiło na próbę gotycką brać, dla której akurat spływający makijaż nie jest ewenementem, podobnie jak zapierniczenie w pełnym słońcu pod zamkową górkę w wielgachnych kozakach i płaszczach, które przetrwałyby syberyjskie mrozy. Jednak niejedno gotyckie jestestwo, mimo nawet największych uczuć dla scenicznych idoli, poległo na polu walki. Polu, bo gdyby był skrawek cienia, nie daliby się. Skwar, który wykończył Krzyżaków pod Grunwaldem, zabrał się za gotów wszelkich narodowości (potwierdzam obecność pod sceną Francuzów, Belgów, Holendrów, Austriaków, Niemców, Czechów i Ukraińców), którzy niczym nietoperze wczepiali się w skrawki cienia w obrysie zamkowych murów. Chapeau-bas dla tych, którzy wytrwale stali pod sceną godzinami, nawet gdy największa lampa solarna świata nachrzaniała prosto w oczy i paliła ubranie na człowieku. Albo tych, co udawali, że oglądają koncerty w namiocie, gdy oczywistym było, że stojąc tam przeżywają kilkugodzinny seans najgorętszej sauny - tylko pozbawionej uprzedniej wizyty w przebieralni, gdzie gotycką zbroję zamieniałoby się na mięciutki ręczniczek w kosteczki i trumienki.

Ale dość o tym wygarze z chmurek, teraz rzecz o decybelach rodem spod ziemi. O te bardzo przednio zadbali artyści wszelkich scen, od cyber-goth-elekto, dark, industrial i ambient techno po cold wave i neo romantic, przez dark pop, folk metal, post-punk, indie

i gothic hard rock, po pagan-doom-black-sludge-stoner metal. Jednym słowem prawie 200 godzin uczciwego, zakrapianego wampirem łożenia, od którego nóżka chodzi i depešowcowi i pankówce, i technofance i blackowcowi. Ciżemka też, przyznać trzeba, że objuczeni w skóry bawołów i borsuków szamani i wyjące wiedźmy wciąż są na fali. Podobnie jak cybergotyckie techno oraz stara melodyjna nierdzewna stal importowana ze Skandynawii, mieniąca się ćwiekiem i łańcuchem. Jednym słowem, festiwal potwierdził europejską renomę muzyczną, a także swój fenomen łączenia skrajnych różnorodności. W cztery dni na dwóch scenach zaprezentowało się kilkudziesięciu wykonawców, w tym naprawdę kultowe formacje, jak Laibach, Therion czy Deine Lakaien. Absolutnym wyróżnikiem tej imprezy jest natomiast jej familiarność i niezwykły klimat, jaki w niedużym, spokojnym miasteczku tworzą setki świetnie wystylizowanych widziadeł z najlepszych wiązowych alejek, thrillerów fantasy, teledysków mrocznej fiordlandii czy komercyjnych seriali z Necia.

Bolkowskie zamczysko, z najbardziej klimatycznym i zjawiskowym na świecie brukowanym podejściem, które obsiadają wampiry, huczący koncertami dniem i nocą dziedziniec, świetna polowa parkowa scena w namiocie, dobrze ulokowane i świetnej jakości cateringi wszelkiej maści i profesjonalna organizacja (za którą, jak było pisane - trza zapłacić) każą mi po raz kolejny uczciwie podsumować: tego nie można przegapić, nawet jeśli się nie śpi w gorsetach, z toporem i sukniach z epoki Draculi, przy dźwiękach kutej stali oraz wyjących zjaw. To naprawdę bardzo przyzwoita impreza dla rodzin, co zresztą widać w zrozumieniu miejscowych i tym, jak się przykładają do swojej pracy, by godnie ugościć w miasteczku głodne (pierogów) diabelskie pokłosie.

Grinder66



Castle Party 2023, fot. grinder 66



**Zapytaliśmy o efekty specjalne nadchodzącej edycji i podsumowanie poprzednich trzydziestu lat Castle Party. Odpowiada Krzysztof Rakowski, pomysłodawca i organizator festiwalu.**

**Jak w kilku zdaniach opisałbyś niemal 30 lat historii festiwalu? Jak go widzisz z perspektywy trzech dekad?**

To doskonały sposób na życie. 30 lat minęło jak jeden dzień. (śmiej) 30 lat promocji frywolności, przyjaźni, muzyki i swobodnej myśli. To taka nasza polska oaza wolności. Nie będę przypisywał sobie żadnych zasług, ale festiwal zmienił rodzimą scenę dark independent. Zmienił moje życie i życie w Bolkowie. A największym fenomenem jest to, że nadal przyjeżdżają tu ludzie, którzy byli na pierwszych edycjach, jeszcze w Grodźcu! Tak jak mówiłem, to sposób na życie, nie tylko mój.

**Czy szykujecie coś specjalnego na 30. edycję Castle Party?**

Na trzydziestolecie, które będziemy obchodzić w tym roku, przygotowaliśmy atrakcje, jakich jeszcze nie było! Pracujemy nad albumem dokumentującym trzy dekady historii festiwalu. Na Starym Rynku powstanie strefa kids, którą przygotowaliśmy z myślą o rodzicach z dziećmi, bo przyjeżdża ich tu niemało. Odbędzie się także pokaz mody. Zaprosimy na fireshow. Bardzo ciekawa impreza szykuje się w Galerii Bolkowskiej, mieszczącej się - to ciekawostka - w starym kościele ewangelickim. Zdradzę, że autorem będzie pochodzący z Legnicy Katod (Katod Music), który przeniesie nas w świat dźwięków oraz... starych monitorów, konsol i klawiatur, wspólnie z Retrosferą - wyjadaczami oldskulowych komputerowych klimatów. Warto będzie w tym czasie zawitać do Bolkowa, bo te eventy towarzyszące będą darmowe. No i nie zapominajmy, że festiwal to przede wszystkim święto radości. Przez to, że mamy tu wielu stałych bywalców, którzy czują się u nas jak w domu, na Castle Party panuje niezwykle rodzinna atmosfera. Wpadajcie do nas!

**Odkopaliśmy też fajne wspominki z prapoczątków imprezy, sami zobaczcie!**

**Wspomina Krzysiek Pawlik z legnickiego zespołu Christblood, działającego w latach dziewięćdziesiątych.**

Na pierwszym festiwalu, który odbywał się jeszcze na zamku Grodziec (jak i kolejne dwie edycje imprezy) pojawiłem się zaproszony przez jego twórcę Krzyska Rakowskiego, który miał bardzo ambitny jak

na owe czasy plan rozkręcenia w Polsce dużego festiwalu gotyckiego. Pracowałem wówczas w Polskim Radiu, a Krzysiek (związany z SPV Records i oczywiście zespołem Fading Colours) był częstym gościem w moich audycjach. Z tego co pamiętam, pierwsza edycja trwała tylko jeden dzień, a ja dotarłem mocno spóźniony i załapałem się tylko na Pornografię i Fading Colours. Jak na lokalizację festiwalu i fakt, że była to jego premierowa odsłona, przyjechało całkiem sporo ludzi. Od początku było też widać - wskazywał na to wyczuwalny klimat, jaki tworzył się podczas koncertów - że pomysł jest trafiony i tkwi w nim wielki potencjał.

Na drugiej edycji pojawiłem się już jako wykonawca z moim zespołem. Christblood był formacją grającą projekty audio-wizualne i nieodłączny element naszych koncertów stanowiły projekcje wideo, a tam - jak się okazało - nie było możliwości technicznych dla ich zrealizowania. Ostatecznie postanowiliśmy zamienić je na działania - powiedzmy - parateatralne, które miały zastąpić brakujące elementy przekazu wideo. Wniesienie pochodni i rozpalenie ognia przed sceną, ustawienie totemów oraz rytualne tańce wciągnęły niczym w magiczny trans znaczną część publiczności. Oczywiście nie spodziewaliśmy się takiego odbioru i ta reakcja ludzi nas zaskoczyła. Wytworzyło się coś niezwykle pomiędzy tym, co działo się na scenie, a tym, co miało miejsce przed nią. Publiczność w swoistym transie poruszała się w rytm muzyki, ktoś rozebrał się i nago tańczył wokół ognia. Było w tym coś rytualnego i przekraczającego zwykły udział w koncercie. Z takim klimatem kojarzą mi się pierwsze edycje festiwalu. Później Castle Party zaczął mocno się rozwijać, otworzył na nowe gatunki muzyczne, pojawiło się więcej mainstreamu, klimat imprezy znacznie się zmienił i wciąż ewoluuje.

Grinder 66



Christblood, Castle Party, Grodziec, 1996, fot. arch. K. Pawlik

# KUBA KAPSA

" Po prostu lubię dobrze  
brzmiące instrumenty "

W tym roku mija 27 lat od premiery „Personal Vertigo” – debiutanckiej płyty Something Like Elvis. I choć ta znakomita szubińska grupa nie działa już od ponad dwóch dekad (nie licząc krótkiej reaktywacji w 2010), jej wokalista i basista śmiało mógłby dostać order przodownika pracy. Przede wszystkim artystycznie odpowiada za odkryty na nowo i niebojący się eksperymentów Contemporary Noise Ensemble, tworzy muzykę do filmów oraz spektakli teatralnych i bez kompleksów bierze się za bary z niełatwym zadaniem tworzenia orkiestrowych, neoklasycznych kompozycji. Do najstarszych wspomnień z czasów SLE jeszcze powrócimy, natomiast głównym pretekstem do naszej najświeższej rozmowy, której telegraficzny skrót przeczytacie poniżej, była nadchodząca premiera „Lost Pigs and Abandoned Gentlemen” – płyty z nigdzie dotąd niepublikowanymi kawałkami CNE. Przez wideorozmowę łączył się Michał Przechera.

**Kuba Kapsa:** Jestem cały czas w robocie, praktycznie nie wychodzę ze studia – czy to pracując nad swoimi kompozycjami, czy ogarniając miksy dla kogoś. Założyłem ze znajomym wytwórnę, powoli budujemy stronę i strasznie dużo zainwestowaliśmy w sprzęt, bo chcemy robić produkcje wysokiej jakości. Nazwaliśmy się Pocket Flower Records, wytwórnia ma funkcjonować szeroko, z zasięgiem zagranicznym, i mieć charakter otwarty, nie chcemy żeby to była efemeryda. Na razie jeszcze działam w Szubinie, ale gdzieś za rok planujemy wybudować od podstaw większe, rezydencjalne studio w Bydgoszczy, gdzie będzie można zatrzymać się na czas nagrań. Bydgoszcz to jednak nie Warszawa.

„Lost Pigs and Abandoned Gentlemen” niedługo wyjedzie z tłoczni, do wykonania zostały też ostatnie elementy okładki. Sam krążek powinna być gotowy pod koniec maja, a proces tłoczenia koordynuje Janusz Mucha z Gusstaff Records. Póki co wydajemy ten album tylko na winylu, co już nie jest najtańsze, bo postawiliśmy na solidną oprawę graficzną zawierającą wiele zdjęć, więc raczej zrezygnujemy z kompaktów będących dziś często topieniem kasy. Prędzej bym zrobił kasety. Nie podam jeszcze dokładnej daty premiery, bo to zależy od wielu czynników. Teraz wszystko spinamy. A na płycie pojawią się nigdzie nieopublikowane nagrania z lat 2008-2013. Wybrałem utwory do słuchania, które najlepiej funkcjonują samoistnie – bez obrazu czy sceny. Będzie przekrojowo – pojawiają

się piosenki, które napisałem w ramach teatralnej współpracy z Przemkiem Wojcieszkiem w Teatrze Polskim we Wrocławiu do spektaklu „Zaśnij teraz w ogniu”. Będą też numery, które ten sam reżyser odrzucił przy okazji „Made In Poland” – bardzo się zresztą nie zgadzałem z tą decyzją – i kompozycje ze sztuki „Miłość ci wszystko wybaczy”, którą robiliśmy wspólnie u Krystyny Jandy w Teatrze Polonia. Umieściłem tam też muzykę tworzoną do serialu TVN „Generał” – to zadanie mi zaproponowała reżyserka Anna Jadowska. Tam były niezłe cyrki z panią producent. W pewnym momencie usłyszałem, że moja muzyka to „gówno” – rozwiązano ze mną kontrakt, a za resztę kompozycji, chyba żeby mnie poniżyć, odpowiadał... montażysta. Po paru miesiącach pani producent zmieniła zdanie – zadzwoniła komplementując te utwory, po czym zaproponowała aneks pozwalający na wykorzystanie muzyki w wersji kinowej. Kompletnie to olałem i kazałem jej spadać.

Jeśli chodzi o kolejną koncertową odsłonę Contemporary Noise Ensemble, to chciałbym powrócić do żywego bandu. Zmęczyło mnie granie z elektroniką i najchętniej bym wypieprzył tego laptopa razem z klikiem do śmieci. (śmiech) Myślę o powrocie Contemporary bardzo akustycznego – z kontrabasem, trąbką, saksofonem i fortepianem i gitarą; może nawet uda się ponownie złożyć pierwotny skład. Niestety nie wiem, kiedy dokładnie to się ruszy, bo teraz obowiązków mi nie brakuje. A z naszym trębaczem Wojtkiem Jachną planujemy



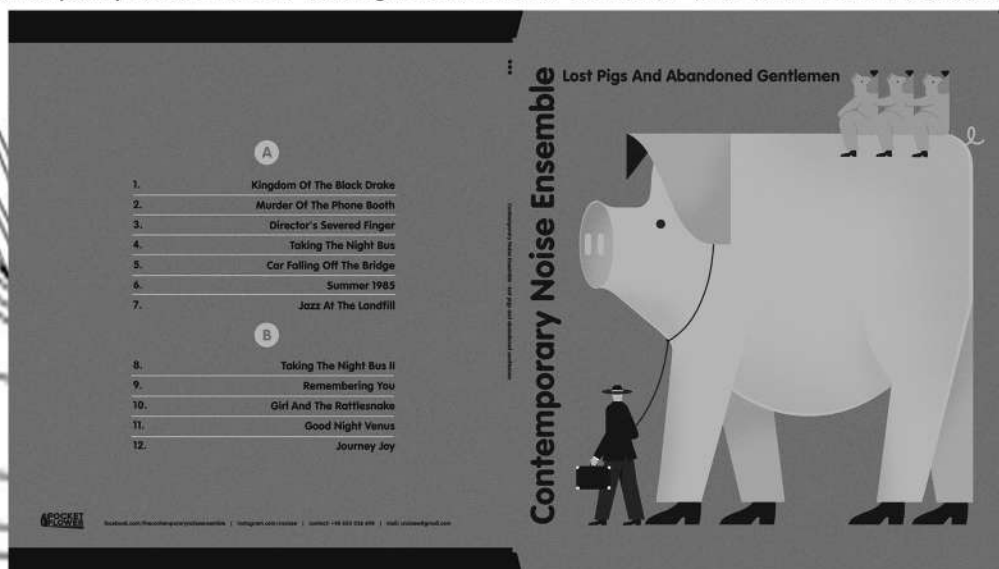
jeszcze założyć kwartet. Mamy właściwie gotowy materiał, kawałki są skomponowane, wystarczy tylko je spisać i dać muzykom.

Robię też skład z Patrykiem Zakrockim. Specjalnie do tego projektu z kupiłem bas, skrzypców Hofnera – dokładnie taki, na jakim grał Paul McCartney. Oryginalny niemiecki instrument, kiedyś miałem już podobny z lat siedemdziesiątych, ale go sprzedałem. A co do Patryka, posłuchałem jego Polskiego Piachu i stwierdziłem, że też muszę z nim założyć zespół! (śmiech) Jesteśmy w trakcie konstruowania składu. Zobaczymy, w jaką stronę to pójdzie – może będą to klimaty w stylu Marvinia Pontiac czy The Lounge Lizards. Patryk już poprzysłał mi pomysły, więc będziemy działać. Do tego dochodzi jeszcze kolejny projekt Jaguar Kay – to w założeniu bardziej studyjna rzecz, planuję zaprosić sporo gości. Specjalnie do tych nagrań kupiłem Fendera Telecastera Deluxe, świetny,

uniwersalny instrument do różnych gatunków. Patryk powiedział, że już „swoją klasyczną szyszkę wysraliśmy”, więc teraz możemy kombinować. Choć ja jeszcze mam pomysły na parę klasycznych rzeczy, ale świetnie to ujął – kwestie ambicjonalne mamy za sobą. A ja po prostu lubię dobrze brzmiące instrumenty.

Na koniec się pochwalę, że nakładem Pocket Flower wydamy trzy koncerty Ōtomo Yoshihide – założyciela grupy Ground Zero, porównywanego często z Johnem Zornem. Właśnie miksuję ten materiał. To nie jest muzyk z naszego katalogu, ale mamy możliwość przygotowania tych koncertówek, bo się znamy osobiście i Ōtomo spodobał się naszemu pomysłowi wydania jego płyt live. Chcemy przygotować te krążki na jesień, bo Yoshihide przyjedzie wtedy do Polski z trzydziestoosobowym big bandem!

Contemporary Noise Ensemble "Lost Pigs and Abandoned Gentlemen" (LP; Pocket Flower Records, 2024)



**FURIA  
ZAMILSKA  
OWLS WOODS GRAVES  
KRZTA**

2.11. POZNAŃ / TAMA  
3.11. BYDGOSZCZ / FABRYKA LLOYDA  
4.11. SZCZECIN / KOSMOS  
5.11. GDAŃSK / B90  
9.11. KRAKÓW / KAMIENNA12  
10.11. WROCŁAW / STARY KLASZTOR  
11.11. WARSZAWA / PROGRESJA  
12.11. LUBLIN / RADIO LUBLIN



// Furia //

// Zamilska //

// Owls Woods  
Graves //

// Krzta //

10 listopada 2023  
Stary Klasztor  
(Wrocław)

W październiku ubiegłego roku Furia zaprosiła do „Huty Luna”, mocno wyczekiwanego następcy wydanego w 2021 „W śnialni”. Należy jednak pamiętać, że wcześniejszy „piosenkowy” album grupy, „Guido”, do słuchaczy trafił już 8 lat temu, co jeszcze bardziej wzmagало apetyty na nowe dźwięki śląskich obskurów od przeszło dwóch dekad dowodzonych przez Nihila. Ich najświeższa płyta, jak zwykle nietatwa w przyswojeniu, zebrała dużo pozytywnych recenzji – dodajmy, całkiem zasłużonych i spodziewanych. Niedługo po premierze, już z początkiem listopada, Furia ruszyła w Polskę pokazując ludziom zimne, popękane ściany swojej Huty. Mimo wszystko skala popularności trasy promującej ten krążek mogła nieco zaskoczyć: tylko osiem dat, ale za to sporo sold outów.

Trzeba przyznać, że choć nie postawiono na skrajnie blackmetalowy format imprezy (jako co-headliner tournée wystąpiła raczej mało kojarzona z szatanem Zamilska), to w przypadku wrocławskiego koncertu już sama przestrzeń przed klubem zwiastowała małe pandemonium. Ogonek kolejki wyglądający aż na zewnątrz plus smutne twarze bezradnie poszukujące biletów – żeby przypomnieć sobie taki szal przed występem polskiej kapeli metalowej w stolicy Dolnego Śląska musiałem sięgnąć pamięcią wieki wstecz. Ostatni raz taka skala zapotrzebowania na niedostępne od dawna wejściówki miała miejsce chyba... w 2009 roku, przy okazji koncertu Behemotha w zapomnianej już nieco W-Z-ce. Był to jednak czas, kiedy Nergal brylował jako stały gość tabloidowych rubryk towarzyskich i sporo osób przychodziło zobaczyć celebrytę, a w przypadku Furii (i reszty projektów, rzecz jasna) równie obfity tłumek przyciągnęła przede wszystkim muzyka. Chyba zatem nie jest aż tak źle z tą przyszłością metalu (i pochodnych) w naszym kraju.

Imprezę rozpoczęła olsztyńska Krzta – power trio w najlepszym tego określenia znaczeniu. Niestety, człowiek niby wiedział, ale znowu się łudził... Już na samym początku potwierdziły się wszelkie obawy związane z garnkowatym brzmieniem ciężkich imprez w Starym Klasztorze. Akustykom nie udało się specjalnie odczarować rzeczywistości, a wysoki sufit z pewnością nie pomógł autorom płyty o optymistycznym kryptonimie „Żółć. Niszczenie. Zgliszcze” osiągnąć potęgi brzmienia – grupa podczas

półgodzinnego setu nie mogła w pełni rozpedzić swoich koni. Ale to z pewnością było dobre przetarcie: i dla samego zespołu, i dla publiczności czekającej w kolejce do wejścia, po browar czy merch.



Uskuteczniając odrobinę prywaty przyznam, że najbardziej czekałem na plaskacza od Owls Woods Graves. Panowie w dużej mierze znani z Mgły w tym projekcie pozwalają sobie na znacznie więcej oddechu. Z perspektywy końca sali The Fall przypominają ubranego w kamuflaż szopa-metalowca z wściekłą – nie sposób było nie uśmiechnąć się na ten corpse paint. Podczas chóralnie odśpiewanego „Antichristian Hooligan” można było mieć natomiast wrażenie, że Acid Drinkers z początku lat dziewięćdziesiątych najedli się sterydów podczas składania ofiary z kota, jednocześnie słuchając klasycznego brytyjskiego oi!-a. Zaleciało serem, ale wiecie, o co mi chodzi. Niestety, dźwięk ponownie ulatywał ku niebu tworząc momentami dziwną, nieselektywną masę podbijaną głównie przez bębny. Trudno, trzeba będzie wkrótce jeszcze gdzieś w Polsce łapać OWG. Ale za to kupiłem sobie bardzo ładną koszulkę!

Decyzja o włączeniu do line-upu Zamilskiej była może i nieortodoksyjna, ale z pewnością przemyślana. Metaluchy wcale nie mają aż tak pozamykanych głów, jak niektórzy chcieliby to widzieć i przyjęli ten producencki set ze zrozumieniem, a nawet z elementami mniej lub bardziej trzeźwej choreografii. Ale oczywiście nie należy zapominać, że wcale nie tak mała część publiczności przyszła głównie na Zamilską i to ci słuchacze w trakcie pozostałych występów musieli wychodzić z elektronicznej strefy komfortu, co też było ciekawym odwróceniem akcentów. A sam koncert? Głęboki, gęsty bas, dobry kontakt z publicznością i energetyczne flow na scenie – zostaliśmy odpowiednio przygotowani na główne danie wieczoru. [Tak pewnie mógłbym pokrótce podsumować ten występ, gdybym chwilę wcześniej nie spotkał kumpli z dawnych lat i nie poszedł po napitek, zamiast stać pod sceną, sorry! Ale ludziom się podobało.]

Choć środki wyrazu oparto na zupełnie innej formie, podczas koncertu Furi przypomni mi się występ Kinsky'ego z grudnia 2015 z całkowicie pustej Spizarni. Pewnie dlatego, że w obu przypadkach można było poczuć się jak na jakimś absurdalnym, momentami nieco przerysowanym spektaklu, który mimo wszystko wciągał bez reszty w fabułę i pozostawiał odbiorcę choć na chwilę w milczeniu. Furia wśród zimnych świateł grała płynąco, a ich muzyka momentami wydawała się niemalże... lekka, a pomimo oczywistego ciężaru jednak bardziej walczykowata niż walcowata. Awangardowe, odważne podejście do współczesności z umiejętnym wykorzystaniem i poszanowaniem tradycji oraz konwencji – jakkolwiek górnołotnie to brzmi, taka jest prawda. Na szczęście pod koniec imprezy słychać już było znacznie lepiej i cały zespół, i wokale Nihila, a nawet odsuwając się spod sceny w nieco dalsze rejony sali nie trzeba było się niczego domyślać.

Bo jak już wcześniej sygnalizowałem, w tej beczce miodu musiała znaleźć się też łyżeczka smoły. Stary



Owls Woods Graves - pod sceną raczej ścisk...



Klasztor po raz kolejny zwyczajnie nie dał rady. Oczywiście, to piękne i klimatyczne miejsce, ale przesterowo-huczająca estetyka jednak nie sprawdza się w tej lokalizacji. Nawet przy upchanej po sam bar sali (kiepska przepustowość lokalu to przy pełnym klubie inna niewygodna kwestia, nieco zezłościwiłem się przypominając znajomym warunki panujące w śp. Łykendzie) momentami w zrezygnowaniu chciało się krzyknąć „echo...”. Z pewnością można było też... więcej zarobić na tej imprezie; ewidentnie pojawiło się więcej chętnych niż biletów i przeniesienie jej do nieco większej miejscówki na pewno zadziałałoby tylko in plus. Ale to tyle z narzekania, niebanalny zestaw wykonawców, no i przede wszystkim monolityczna i potężna Furia na deser wynagrodziły wszelkie niedogodności, robiąc jeszcze większego smaka na przyszłość. Parafrazując klasyka – warto było!

Michał Przechera



## HOMO TWIST

### Kolejne życie po śmierci

*Witam wyrzutków społecznych, alkoholików, narkomanów. Macie w ogóle jeszcze gdzie mieszkać?* Maciej Maleńczuk w już pierwszych słowach skierowanych do publiczności w Zaklętych Rewirach zawarł ogromną dawkę tak charakterystycznego dla siebie dystansu i pokazał, że nie ma zamiaru się z nikim głąskać. A audytorium zgromadziło się całkiem liczne – oczywiście nie aż tak, jak w przypadku Swansów kilka tygodni wcześniej, ale przyznam szczerze, że byłem naprawdę pozytywnie zaskoczony frekwencją. Bardzo dobrze, że ten stary chałturnik i lew salonowy postanowił znowu pojechać do wertepach, przyczernił grzywę i po latach niebytu ponownie tchnął świeży oddech w Homo Twist.

Dziecko ulicy i kryminału, trupio wychudzony heroinista z podmalowanymi oczami grający przejmująco życiowe bluesy kontra dobrze zbudowany, niezwykle wysportowany jak na warunki swojego używkowego CV sześćdziesięciolatek bardziej hołdujący artystycznej formie niż autobiograficznej wiwisekcji. Którą opcję wybieracie? Maleńczukowi często dorabia się gębę, co raczej mu nigdy specjalnie nie przeszkadzało. W końcu nazwał się satanistą (pojawił się nawet w „Luciferze” Behemoth), deklarował przejście na islam, ironicznie komplementował Rydzyka, a i potrafił dać po zębach prolaferowi zbyt ostentacyjnie głoszącemu swoje poglądy.

Wiele osób zdążyło odsądzić Maleńczuka od czci i wiary też za wybory muzyczne. W końcu przez długi czas jego główne źródło utrzymania stanowił sanatoryjny Psychodancing plus odcinanie kuponów od Młynarskiego. Były też mniej lub bardziej udane próby gatunkowego eksperymentowania – jak specyficznie saksofonowe, choć i tak platynowe „Jazz for Idiots” czy „The Ant”, które przeszło bez większego

echa docierając raptem do 44. miejsca OLIS-u (choć to najciekawsza artystycznie propozycja autora „Chamstwa w państwie” od długiego czasu). A Homo Twist powrócił na koncertowy szlak po blisko piętnastu latach przerwy już w ubiegłym roku, przy okazji występu na festiwalu ZEW Się Budzi w Bieszczadach. Na minitrasę trzeba było jednak czekać kilka solidnych miesięcy, choć trzech koncertów (Warszawa, Poznań, Wrocław) zagranych przez jeden weekend pełnowymiarowym tournée zdecydowanie bym nie nazwał. Stolica Dolnego Śląska wypadła na sam koniec tego skromnego, ale treściwego zestawu – 14 kwietnia.

Pan Maciej (chyba już lekko zmęczony weekendowym graniem, bo kontakt z widownią ograniczył do niezbędnego minimum) publiczności przedstawił się łatwym do zapamiętania pseudonimem Psychofunkgitarrenundskunkpunksingerfather. Dziwne przydomki to zresztą nic nowego w przypadku Homo Twist; we wkładce do „Demonologic” w 2005 lider grupy podpisał się jako Lucyfer de Santa Maria. W najnowszej odsłonie krakowskiego tercetu towarzyszy mu niezwykle sprawna, jazzowa sekcja z Krakowa – zresztą obu muzyków MM zatrudnił już przy okazji solowych koncertów pod szyldem „Klauzuli sumienia”. Basista Dominik Wywrocki (alias Ponury Albatros) oraz bębniarz Wiesław Jamioł (fani Pink Floyd z pewnością docenią jego ksywę Atomhartbrother) to solidne uzupełnienie jego ocierającego się o metal gitarowego stylu.

Skład Homo Twist, oczywiście oprócz głównego elementu, zawsze był płynny – można tu znaleźć sporą analogię z funkcjonowaniem Apteki skupionej wokół osoby Kodyma. Maleńczuk to mózg i serce tego uniwersum, ale za rytm w jego formacji odpowiadała plejada naprawdę interesujących postaci. We wczesnym etapie działalności grupy za perkusją

pojawił się chociażby Grzegorz Borek, wtedy jeszcze noszący fryzurę na czeskiego piłkarza, a za kilka lat zdobywający chwilową sławę jako raper Bolec. Na płycie „Moniti Revan” bębnił Artur Hajdasz – wokalista Made In Poland i perkusista wielu innych kapel, w tym Apteki. Za bas natomiast odpowiadał – to jeszcze we wczesnych dziewięćdziesiątych – enfant terrible polskiej muzyki czasów transformacji, Rafał Kwaśniewski, choć w dyskografii zespołu zapisał się jako gitarzysta gościnnym udziałem na drugiej płycie. O takich odpowiedzialnych za niskie tony osobach jak Olaf Deriglasoff (też przez kilka lat w Aptece), Franz Dreadhunter czy Titus chyba wspominać nie muszę... I choć nowi muzycy towarzyszący Maleńczukowi nie ścigają się na sceniczną charyzmę z wcześniej wymienionymi to czuć, z jakiego gatunku się wywodzą. Grają niezwykle równo i efektywnie, a ubrani na ciemno kontrastują z wymyślnym, czerwonym uniformem syna Edwarda.

Frontman na koncerty przywdział dokładnie ten sam ubiór, w którym wystąpił choćby w najlepszym od wielu lat odcinku show Kuby Wojewódzkiego. Gwiazda Dawida na ramieniu obok odwróconego krzyża na piersi pewnie budziłaby kontrowersje w przypadku każdego innego szansonisty, a tak – typowy Maleńczuk. Trochę tylko żałuję, że ten sprawnie poruszający się w ciężarach gitarzysta na swój customowy ośmiostrunowy lotniskowiec założył tylko sześć sznurków. W końcu główny kompozytor Homo Twist podkreślał swoje umiowanie choćby do Sepultury, więc dodanie kilku niskich dźwięków z pewnością ogarnąłyby bezproblemowo.

Usłyszeliśmy dość przekrojową pigułę złożoną z siedemnastu utworów, choć w setliście znalazły się wyłącznie kawałki nagrane jeszcze w XX wieku. Trudno wyobrazić sobie koncert Homo Twist bez klasycznych już dziś numerów: oczywiście były „Nobody”, „Techno i porno”, „Twist again” czy „Populares über alles” choć z drugiej strony zabrakło takich koncertowych pewniaków jak „Mandela”, „Sarajevo”, „Krzysio” i „Jamajka”. Maleńczuk zdecydowanie zbyt po macoszemu potraktował też dwie ostatnie płyty Homo Twist – „Demonologic” oraz „Matematyk” nie miały żadnego reprezentanta (bo trudno za taki traktować cover breakoutowego „Oni zaraz przyjdą tu”), a są tam przecież naprawdę świetne utwory z potencjałem koncertowym: jak chociażby „Me”, „Powiedz mi ogniu” czy niegrany chyba nigdy na żywo „Lema pamięci kosmiczny pogrzeb”. Z albumu „Cały ten seks” też dostaliśmy raptem dwa kawałki – do poprawki! Na szczęście był jak zwykle piękny w swojej pompatyczności „Bema pamięci żałobny rapsod” – Maleńczuk nawet zaczął trochę zaciągać po niemenowemu! In plus z pewnością należy zapisać sprawnie przemyślane i zmontowane wizualizacje, będące uzupełnieniem każdego z kolejnych elementów setlisty.

Grupa ruszyła w trasę bez premierowego materiału, jednak dla najwierniejszych fanów i tak przygotowała nie lada atrakcję – zapakowaną w deluxe digipack kompilację „Spider”, opartą na dokładnie tych samych



Homo Twist "Spider" (CD; Mystic Production, 2024)

utworach, które usłyszeliśmy na żywo. Piosenki zostały nagrane na nowo, przez co muzycy wycisnęli z nich jeszcze więcej mocy. Niestety, cena tego wydawnictwa była niebagatelna – stówka za kompakt (a to i tak w promocji!) to jednak trochę przegięcie. No ale dobra, wydanie jest naprawdę kunsztowne, a jako gadżet został dodany też pendrive z grawerką czachy, więc w naturalny sposób podwyższyło to koszty produkcji. Kupiłem i nie żałuję, a do samej płyty – choć przecież zawarte na niej utwory znam na pamięć – wracałem jeszcze kilka dni dobrych po koncercie. Co mnie zdziwiło, chyba najmocniej wkręcił mi się kawałek tytułowy, który zawsze był przeze mnie doceniany, ale nigdy na większym ripicie. Do teraz.

Pamiętam reaktywację Homo Twist z 2005 roku w klubie Ave Cezar w Lubinie. Było znacznie bardziej kameralnie, wręcz garażowo, a program koncertu w dużej mierze oparto na tych samych utworach, co dziesięćnaście lat później (setlistę podwędziłem z odsłuchu Maleńczuka). Bo czy te dwie dekady coś wielkiego w jego przypadku zmieniły? Już wtedy był przecież po Idolu i „Wolności słowa”, a w planach miał wydanie „Demonologii” i zdecydowanie wartej uwagi płyty ze średniowiecznymi kantykami. Emploi MM jest na tyle bogate, że w jednym momencie może być nadprowokatorem ostrzem ironii tnącym od lewa do prawa, by za chwilę założyć kiczowatą marynarkę i co nieco pozarabiać na odbiorcy 60+. Dwa tygodnie przed koncertem Homo Twist nie mogłem opuścić „Kluzuli sumienia” w Sali Maneżowej – program koncertu był identyczny jak na ubiegłorocznym legnickim koncercie, powtarzała się nawet konferansjerka. I nikomu to nie przeszkadzało. Bardzo podobnie jest w przypadku Homo Twist. Czy potrzebujemy premierowego materiału pod tym szyldem? Na pewno byłoby ciekawie posłuchać nowych interpretacji wierszy Emily Dickinson – bo niespecjalnie chce mi się wierzyć w nagłe odkopanie pokładów kreatywności Maleńczuka i napisanie świeżych twistowych kompozycji – ale przede wszystkim chciałbym pójść na jeszcze dłuższy koncert. Z przekrojowym uwzględnieniem dwóch ostatnich albumów i długimi anegdotami jak na „Live After Death”, niezwykle udanej koncertówce wydanej jeszcze przez powrotem z Titusem.

Michał Przechera

Steve Von Till - live Stary Klasztor (Wrocław, 2023; fot. arch. aut.)



# STEVE VON TILL

## we Wrocławiu

### czyli jak ponury żniwiarz kiczowate jam session pokonał

Neurosis już nie ma i nie będzie, trzeba się z tym pogodzić. Ostatnią płytę – „Fires Within Fires”, niełapiącą się zresztą do ich albumowej topki – panowie z Oakland wydali 8 lat temu, a grać ze sobą przestali jeszcze przed lockdownowym wariactwem. Przyczyny następującego stanu rzeczy poznaliśmy jednak dopiero po dłuższym czasie. W 2022 do mediów trafiła szokująca wiadomość – założyciel, wokalista i gitarzysta zespołu, Scott Kelly, przez lata psychicznie i fizycznie znęcał się nad swoją rodziną. W konsekwencji tych doniesień pozostali muzycy Neurosis błyskawicznie usunęli z kapeli tak ważny jej element (co w praktyce należy chyba już rozumieć jako rozpad grupy), a Kelly wycofał się z życia publicznego i zakończył artystyczną karierę. Tym bardziej należy doceniać, jeśli jeszcze jakimś cudem pojawi się okazja przeżycia choć odrobiny magii znanej z występów najważniejszej postmetalowej grupy świata.

Rozpocząłem tym przydługim wprowadzeniem, bo drugi z filarów Neurosis, Steve Von Till, znany też z jednoosobowego projektu Harvestman, odwiedził w zeszłym roku Polskę w ramach miesięcznej trasy promującej wydany w 2020 album „No Wildererness Deep Enough”. I to dwukrotnie! Pierwszy koncert brodatego, wydzieranego nauczyciela matematyki – ikony ciężkiego grania nawet w Stanach nie mają lekkiego życia i muszą chodzić do normalnej roboty – miał miejsce 27 lipca w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. 22 sierpnia Von Till odwiedził zaś wrocławski Stary Klasztor – to była przedostatnia data tournée, następnego dnia pozostał już tylko finałowy Berlin. Cała trasa opierała się na pięknych, nastrojowych miejscówkach; Sala Gotycka w stolicy Dolnego Śląska z pewnością też zalicza się do tego zestawienia.

Przy okazji takich imprez można pytać o zasadność obecności supportów – nawet nie we wszystkich zapowiedziach pojawiła się informacja o występie reprezentującego Church of Ra kontrabasisty Pietera-Jana Van Assche z solowym projektem Innerwoud. Kto miał dotrzeć, ten dotarł – bardzo przyzwyczajone, chwytające za kark dołami, adekwatne wprowadzenie w klimat na rozgrzewkę i... właściwie to tyle. Szkoda tylko, że siedząc w pierwszym rzędzie musieliśmy oślaniać oczy przed oślepiającym punktowym światłem skierowanym centralnie

w stronę krzesel, ale to wizualny pomysł głównego bohatera, więc trzeba było przyjąć go na klatę.

Steve Von Till na scenie pojawił się punktualnie o 21 w towarzystwie trzech muzyków. Czterema kontrabasowymi strunami zajmował się wspomniany wcześniej Innerwoud, a towarzyszyli im także (przede wszystkim odpowiadający za budowanie klimatu i przestrzeni) multiinstrumentaliści Braden Diotte i Dave French, w dużej mierze skupiający się na syntezatorach. To duże urozmaicenie w porównaniu ze studyjną wersją „No Wildererness Deep Enough”, na której nie pojawił się żaden z trzech koncertowych towarzyszy Steve'a. Pomimo panującej na sali duchoty przez przeważającą część koncertu niemalże fizycznie można było odczuć mrok i chłód lasów Północnego Idaho, a Von Till i jego przybocznicy sprawnie operowali emocjami widzów, wciągając zahipnotyzowaną publiczność w sam środek swojej opowieści, mieniającej się różnymi barwami ciemności.

Nostalgiczna podróż rozpoczęła się od „Dreams of Trees”, a następnie usłyszeliśmy „Indifferent Eyes” – także z najnowszej (choć wydanej przecież już 4 lata temu) płyty. Dusza Neurosis sięgnęła też po nieco starsze utwory – jak „Breathe” czy „My Work Is Done” z „If I Should Fall To The Field” (to już rok 2002), a także „A Language of Blood” i „Birch Bark Box” pochodzące z „A Life Unto Itself” (2015). Jeśli jednak chodzi



o piosenki z tego krążka (i tak naprawdę wszystkie koncertowe momenty), największe wrażenie zrobiło na mnie „Night of the Moon”. W sumie nic dziwnego, to prawdopodobnie mój ulubiony numer w całej solowej dyskografii Von Tilla.

Steve zasiadał za klawiszami, ale rzecz jasna chwycił też za gitary – kiedy trzeba, dodawał przestrzeni akustycznym brzmieniem, innym razem sięgał po gitarę elektryczną, dopełniając niezbędnego ciężaru. Momentami odchodził od instrumentów, skupiając się na niskim, niemalże medytacyjno-szamańskim tonie głosu. W trakcie koncertu Von Till czytał swoją poezję z książki nazwanej po prostu „Harvestman”, dzięki czemu jego występ nabral jeszcze bardziej artystyczno-interdyscyplinarnego wydźwięku. Po wybrzmieniu ostatnich dźwięków kończącego wieczór „Known But Not Named” zdecydowanie miało się ochotę na dodatkową porcję magii.

Niestety, gospodarze Starego Klasztoru dali plamę taką, że Janusz Rewiński i Krzysztof Piasecki śmiało mogliby reaktywować swój program. W trakcie całego koncertu na klubowym dziedzińcu odbywało się... jam session. I nie dość, że panowie męczący instrumenty na zewnątrz byli kompletnie pozbawieni smaku i niesamowicie głośni, to jeszcze perfekcyjnie wbijali się w ciszę, która była jednym z istotnych czynników tworzących atmosferę. Steve w pewnym momencie zażartował, że nie wiedział o rockowym zespole grającym obok. Równie dobrze mógł przygwiazdorzyć i po prostu zejść ze sceny. Gdy jednak w dużym skupieniu próbował przeczytać fragmenty swojej poezji, pobliskie radosne dźwięki niezbyt utalentowanych muzyków stały się już po prostu niesmaczne. Stary Klasztorze, wstyd! Organizator, czyli Knock Out Productions, powinien poważnie pogadać z osobą odpowiedzialną za ten kuriozalny pomysł.

Jeśli przeżywacie żalobę nie tylko po Neurosis, ale i choćby po supergrupie Absent In Body (oprócz Scotta Kelly'ego w skład tego ansamblu weszli reprezentujący barwy Amenra Colin H. van Eeckhout i Mathieu Vandekerckhove, a na bębnach zagrał sam Igor Cavalera), która zdążyła nagrać tylko jeden – za to świetny – album, koniecznie wypatrujcie kolejnych koncertów Steve'a. Bo chyba tylko tego pozostało nam oczekiwać w kontekście koncertowej spuścizny autorów „Through Silver In Blood”... A pomimo prób autostorpedowania koncertu w Starym Klasztorze postanowiłem po prostu dać się porwać. Nie robiłem żadnych zdjęć, przymykałem oczy i słuchałem. Jak na każdym z koncertów na trasie, Steve zabrał kameralną publiczność (to zdecydowanie nie są wydarzenia dla tysięcznego audytorium) do swojego świata, co w dobie dwuminutowych singli i kultury instant nie jest już żadną oczywistością. I nawet pomimo niełatwych warunków udowodnił swój szacunek do odbiorców i, po prostu, dużą klasę muzyczną. A że Von Till, tym razem jako Harvestman, wydał niedawno kolejną płytę – „Triptych: Part One” – być może już wkrótce znów będzie okazja wybrać się z tym ponurym żniwiarzem na spacer po lesie.

Michał Przechera



Steve Von Till - live Stary Klasztor (Wrocław, 2023; fot. arch. aut.)



Steve Von Till - Triptych Part One (CD; Neurot Recordings, 2024)



# SWANS WE WROCŁAWIU

**czyli koncert (dosłownie i w przenośni) niezwykle bolesny**

Siwy, długowłose Michael Gira, wyglądający niczym dziwne połączenie starotestamentowego proroka i potencjalnego negatywnego bohatera jednej z morderczych ballad Nicka Cave'a, unosi w zaraźliwym transie lewą rękę, jednocześnie nieprzerwanie uderzając prawą dłoń w puste struny swojego akustyka. „Kiedy wreszcie nauczę się żyć?” – z bólem w głosie pyta siedemdziesięcioletni wokalista, choć doskonale wie, że i tym razem nie doczeka się odpowiedzi. Nie musi nawet układać lewej dłoni na gryfie gitary, by zahipnotyzować w obłąkańczym bezruchu przeszło pół tysiąca par uszu. Uszu nierzadko cierpiących, bo słuchaczy wprowadzonych w jakiś dziwny stan bezlitośnie atakował falami tak charakterystyczny dla Swansów przeszywający dźwięk – jeśli ktoś nie zabezpieczył się stoperami czy choćby zamkniętymi słuchawkami, przez dobrych kilkadziesiąt godzin po koncercie musiał żyć z tępyim piskiem w uszach. Ale biorę w ciemno ten ból. Podobnie jak dającą masochistyczną radość świadomość, gdy zamiast o rozrywkowym aspekcie koncertu myślisz głównie o wyjściu z sali z w miarę zbalansowaną psychiką...

Wrocławskie Zakłęte Rewiry są dość szczelnie upakowane, ale można relatywnie swobodnie przeciskać się przez klub. Nie muszę wykorzystywać przewagi warunków fizycznych, żeby bez większych problemów dotrzeć bokiem sali aż do linii głośników. Z całą siłą wciskam się w kolumnę, rozpościerając ręce i oplatając membrany dwumetrowym zasięgiem ramion, jakbym jeszcze bardziej chciał zjednoczyć się z tworzywem. Przez moment czuję, jak drgania zawodzącego głosu Giry i tajemnicze fale generowane przez instrumenty przenikają moje ciało, a masywny głośnik pod naporem nagle wykształconej potrzeby jedności przesuwa się o kilka centymetrów. Zanim resztki świadomości w pełni zostaną przejęte przez ten metafizyczny przepływ energii, wyciągam telefon. Chcę, żeby choć ta rozmazana fotografia stanowiła dowód rzeczowy udziału w tym szaleństwie. Zdaje mi się jednak, że przez moment Michael z karcącą miną zerka w moją stronę, więc szybko chowam to diabelskie urządzenie do kieszeni i już w pełni oddaję się podróży do wnętrza. Nie za bardzo obchodzi mnie, że ktoś z obsługi trąca moją wciąż wczepioną w kolumnę dłoń, zupełnie też nie skupiam się na liczeniu utworów. Daję się porwać dźwiękom i tylko one mnie w tym momencie obchodzą. Skoro bolą uszy, to znaczy, że jeszcze żyję.

Swans przyjechali do Polski w ramach imponującego, wielomiesięcznego maratonu. W ciągu tygodnia

poprzedzającego opisywany koncert Łabędzie odwiedziły Hiszpanię, Szwajcarię, Włochy i Niemcy, a już dzień po występie w stolicy Dolnego Śląska porwały publiczność w gdańskim Starym Maneżu. Trasa „The Beggar” – nazwana identycznie jak ostatni album grupy, lecz w błędzie byłby każdy oczekujący szerszego przybliżenia najnowszego studyjnego materiału nowojorskiej formacji – to kilkadziesiąt koncertów zagranych praktycznie w całej Europie i Ameryce (a niedługo przed październikowym wyruszeniem na stary kontynent ekipa Giry wróciła z... poprzedniej muzycznej wyprawy po USA i Kanadzie). Trzeba mieć dużo motywacji i miłości do swojej twórczości, żeby wybrać się w taką morderczą pielgrzymkę – tym bardziej, że grupa nie oparła się na jednej, z góry ustalonej, setliście i sukcesywnie włączała do programu premierowe pomysły dojrzewające już na trasie. Na plus na pewno należy zaliczyć też cenę biletów – 170 złotych w dzisiejszych realiach branżowych to naprawdę uczciwa propozycja.

Tym bardziej, że wrocławski koncert również miał w sobie sporo cech długodystansowego biegu. Zapętlenie za zapętleniem, kontrolowany chaos niczym na „Delirium Córdia” Fantômasa i – cytując poetę – „jakieś piosenki czy kosmosu szum”. Rzeźnia na ołtarzu. Szukanie prawdy. Przez prawie 150 minut, z czego blisko połowę zajęła rozwleczona wersja numeru tytułowego z najświeższego albumu, na przemian

byliśmy smagani i uspokajani dźwiękiem. Podczas uczestnictwa w takim misterium bezsensu jest szukanie w głowie dziennikarskich i artystycznych punktów odniesienia czy sięganie myślami w stronę prozy codzienności. Nigdy nie próbowałem medytacji, ale dzięki Swansom chyba po trosze zrozumiałem ideę i cel odciętego od dystrykcji zanurkowania w głąb – choć tym razem temu stanowi towarzyszyły dźwięki po równo przypominające egzorcyzm i przywoływanie demona. Opętańczy śmiech Giry połączony z rytmicznym uderzaniem się w twarz... ludzie zwykle skupieni na irytującym unoszeniu ręki z doklejonym telefonem w zamyśleniu dali się porwać temu atawistycznemu przedstawieniu. W podobny nastrój publiczność potrafi wprowadzić niewielu, w tym wywołany wcześniej do tablicy Nick Cave.

Jeśli chodzi o dalszy program koncertu, dostaliśmy dobrze znanego, rozedrganego „The Hanging Mana” z płyty „leaving meaning”, a następnie... same nowości. Dzięki temu jeszcze bardziej mogliśmy skupić się na niezmaconym odbiorze, bez porównywania interpretacji na żywo do wersji kanonicznych. Głos Michaela Giry przenikał przez ściany, świdrował uszy i stanowił najgłośniejszy element przedstawienia – podobne opinie można przeczytać również w relacjach z pozostałych koncertów trasy „The Beggar”. W rozkręcającym się do niemalże przebojowego finału „I am a Tower” doświadczony frontman wybrzmiewał trochę jak współczesny, jeszcze bardziej opętany Jim Morrison. W brzmieniowym ciężarze „Guardian Spirit” odnalazł się niczym wieszający rychły koniec kaznodzieja, by już za chwilę stonować zszargane nerwy uspokajającym neofolkową nostalgią „Away”. Wieczór podsumowało pierwotne „Birthing”, pokazujące tak naprawdę pełnię perspektyw Łabedzi – od płomiennego, plemiennego rytmu po miażdżący, zupełnie schyłkowy finał, w którym Gira spiął całe wygenerowane dotąd cierpienie.

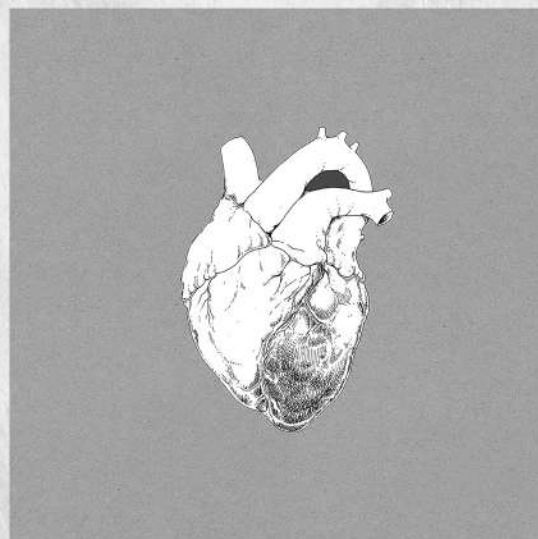
Choć skład Swans zawsze był dość płynny, z obecnymi muzykami spiritus movens zespołu gra już kilka dobrych chwil i trudno nie myśleć o tym niezwykłym ansambli inaczej niż tylko w kategoriach monolitu. Misterne tkanie tekstur do słuchacza w pewnym wieku przemawia już znacznie mocniej niż wykalkulowane, jumpscare'owe szokowanie spod znaku „mocnego uderzenia”. Miniminusem wieczoru była tylko niezbyt pożywna rozgrzewka przed daniem głównym. O ile w przypadku koncertu Steve'a Von Tilla spytałem o sens supportu, tak w tym przypadku nie mam większych wątpliwości. Ambientowo-dronowa forma sprzyja generycznej produkcji kakofoniczno-randomowych dźwięków i mam wrażenie, że pochodząca ze Szwecji Maria W Horn nieco popadła w tę pułapkę dziwności rodem z Industrial Festivalu. Kto wie, może i w innych okolicznościach zanurkowałbym w tę estetykę, ale żeby od razu opóźnić koncert Swansów przez taki performans... Przynajmniej miałem czas na dwa spokojne papierosy tuż przed.

W sieci nie pojawiły się żadne nagrania z koncertu w Zaklętych Rewirach. Trochę szkoda, ale zaprezentowany z perspektywy wąskiego obiektywu skrót nie i tak nie oddałyby przecież niesamowitej atmosfery, której częścią mieliśmy okazję być. Na szczęście grupa już zapowiedziała wydanie koncertówki, ponoć z zapisem koncertu w Hadze. Wróciłem za bogatszy o koszulkę z ikonicznym zębatym logo (choć jakość materiału jest niezbyt imponująca, zwłaszcza porównując ją z memorabiliami sprzedawanymi na koncertach innych amerykańskich kapel) i „The Beggar” – co prawda tylko na kompakcie, bo niestety nie wzięłem wystarczająco gotówki na zakup winyla. Ale jeśli kiedykolwiek będziecie mieli okazję zobaczyć (a przede wszystkim usłyszeć) Swans na żywo – idźcie na moją odpowiedzialność. Najwyżej trochę ogłuchniecie, ale naprawdę warto!

Michał Przechera



Swans - live Zaklęte Rewiry (Wrocław, 2024; fot. arch. aut.)



Swans - The Begga (CD; Young God Records, 2023)

# CZERWONE MIASTO

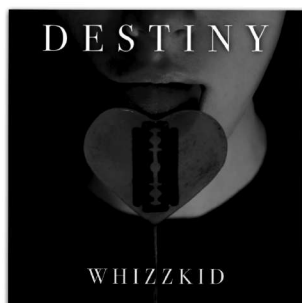


Projekt Legnickiego Centrum Kultury i Atrament Records, odkurzający scenę muzyczną, rockową Legnicy i Zagłębia Miedziowego z dawnych lat.

## NAJNOWSZE WYDANIA



HOTEL CENTRUM/IMPERIUM  
"Bilonowy deszcz" 2CD



DESTINY  
"Whizzkid" CD



MARIA NEFELI  
"Boicie się walczyć.  
Jarocin 90" 3CD



- HOTEL CENTRUM/IMPERIUM "Bilonowy deszcz" 2CD
- DESTINY "Whizzkid" CD
- MARIA NEFELI "Boicie się walczyć. Jarocin 90" 3CD
- URZĄD CELNY "Szczyty marzeń. Archiwum 1981-1985" 2CD
- "Urząd Celny. Miłość do przesterowanej gitary" książka
- NOCNE BOOGIE "Nocne Boogie. Archiwum 1989-2019" CD
- Z DZIELNI CHŁOPCY "Blues z mojej dzielnicy" CD
- "Przegląd 80/81. Festiwal Piosenki Uczniowskiej" MC + folder
- TADEUSZ OLCHOWSKI "Tadek" CD



dystrybucja/zamówienia - Czerwone Miasto

✉ [bgk@lck.art.pl](mailto:bgk@lck.art.pl)

📌 [#czerwonemiasto.legnica](https://www.facebook.com/czerwonemiasto.legnica)

☎ 781 612 983

📍 Galeria Satyrykon (Rynek 36)



[www.lck.art.pl](http://www.lck.art.pl)



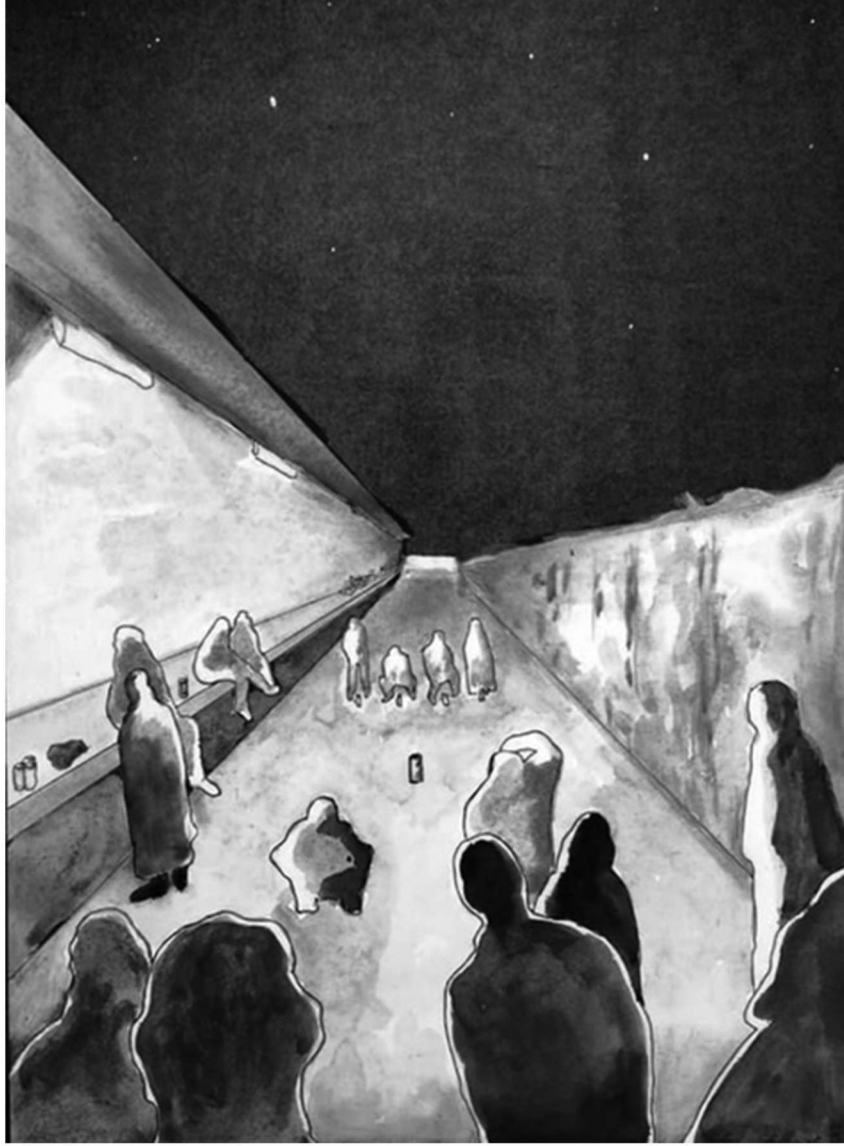
# JAKUB STEFANIAK

## ILUSTRATOR NUMERU

Absolwent Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, aktor, instruktor ćwiczeń siłowych, badminton, masażysta oraz z zamiłowania malarz. Maluje zarówno pokoje jak i obrazy, chociaż woli to drugie, bo jest nieco mniejsze. Najczęściej tworzy w ciszy, przy kawie z mlekiem, podjadając stojący obok twaróg. Czasami myli pędzel z łyżką, ale już coraz rzadziej. Jeśli nie ma ciszy, to w tle gra mu zespół Dakhabrakha, Adam Strug, playlista workout energy 2024, albo Pan bębniący przy katedrze Piotra i Pawła. Tak na bardziej poważnie - od dwóch lat aktor w teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy.









Wydawca: Strefa de..."/LCK  
bgk@lck.art.pl  
[www.facebook.com/strefade.legnica/](http://www.facebook.com/strefade.legnica/)

Redakcja: Michał Przechera, Aleksandra Kondracka, Grinder 66, bgk

Ilustracje: #Sztuka za trzy-zero, Kuba Stefaniak

Skład i opracowanie graficzne: PA-TU studio

Druk: Prographic (Legnica | <http://prographic.pl/>)

